Ner 5. Kraków 1 marca 1868. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody**.

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

L'homme qui a le plus vécu n'est pas celui qui a compté le plus d'années, mais celui qui a le plus senti la vie.

J. J. Rousseau — Emil.

Nie ten żył najdłużéj, kto liczy najwięcéj lat, ale kto najwięcéj czuł życie.

Utraciliśmy niepodległość, bośmy pozwolili, żeby wewnętrzne siły i cnoty narodu poszły w poniewierkę i zmarnowanie.

Wyłoniwszy się z swobodnych słowiańskich gminności, rozrośliśmy się w potężne państwo, ustanowiliśmy prawa, wypracowaliśmy zasady o jakich się nikomu w owych wiekach nie śniło, na jakie w najnowszych dopiero czasach najucywilizowańsze narody zdobyć się mogły. Ale ta potęga i wolność nasza zepsowała się; biały orzeł zamaczał skrzydła w bagniskach samolubstwa, prywaty, swawoli, i nie mógł się już podnieść, i przyszło mu czekać, iżby odrodzenia słońce osuszyło i wybieliło pierze jego, i żeby się zagoiły krwawe, własnowolne rany.

Jedna po drugiéj z wielkich naszych instytucyj i zasad przepadały: Wolność i równość obywatelską pożarła kastowość, ufundowana na ujarzmieniu i wywłaszczeniu ludu — tego pierwszego wolnego mieszkańca i pierwszego pana polskiéj ziemi *); wolność sumienia, równouprawnienie wyznań, które niegdyś, ręka w rękę z przezorną mądrością polityczną, nakazały przygarnąć prześladowanych żydów — które w czasie reformacyi zyskały dla Polski sławę j e d y n e g o k r a j u, w k t ó r y m p r a w d a j e s t w o l n ą **) — przepadły w następném odtrąceniu żydów, w wojnach religijnych na Rusi i prześladowaniu innowierców; pobożność Jagiełły, Wita Stwosza i Czarneckich przepadła w ciemnéj dewocyi; wolność myśli, Kopernikowy polot nauk, oświata, przepadły w jezuickich szkołach, tak jak Kochanowskiego pieśń w makaronicznych panegirykach; mądrość stanu, sprawa publiczna przepadły w osobistych frymarkach możnych i w służalstwie kontuszowéj czerni; żądanie podatków stało się gwałceniem swobód; burze sejmikowe zatapiały obronę krajową w morzu wina — „jedz, pij i popuszczaj pasa"; harce na kresach przypominały się już tylko w zaściankowych zajazdach; a nareszcie cudzoziemski obyczaj zaraził domowe cnoty i stała się Polska „pawiem narodów i papugą".

„W s z y s t k o n a m d a ł e ś, c o d a ć m o g ł e ś P a n i e", a z wszystkiego zostały nam „k r z y ż i m o g i ł a!"

Byli mężowie o p i e r s i a c h w e d ł u g m i a r y P e r i k l e s a, którzy mieli widzenie zbliżającéj się ruiny; były usiłowania naprawienia rzeczypospolitéj, — ale były to głosy wołających na puszczy. — Ocknęła się jeszcze po raz ostatni s t a r a w i a r a i poszła w konfederaty z księdzem Markiem — ale Pułascy nie rodzą się jak grzyby i nie są nieśmiertelni. Jedna modlitwa może okupić duszę, ale jeden poryw krewkości serca nie odrobi i nie wydoła naprzeciw wiekowéj niemocy i politycznym grzechom. — Przeszła historja po trupie Rejtana. — Zdobyło się jedno pokolenie na akt odrodzenia trzeciego maja; ale jedno pokolenie, to nie naród jeszcze — i napisali nam tylko t e s t a m e n t.

Dopiero piorun upadku obudził z letargu serca, przejrzały zaspane oczy, zadrgnęła dusza narodu i rozpoczął się wiek straszliwego sądu, ale i wiek odrodzenia. Śmiercią przyszło nam okupić życie, w niewoli przyszło nam odrobić i naprawić wszystkie grzechy wolności.

Zdało się ludziom o kramarskiéj duszy i kauczukowych sumieniach, że naród jest piłką w ręku mocarzy i mięsem pod armatnie jatki. Więc porobili sobie fałszywych bogów, więc szukali zbawienia od Rosyi, kon-

*) Patrz Lelewela „Hist. ludu polskiego".

**) Słowa Melanchtona.

szachtowali z Katarzyną, uwierzyli w Aleksandra I., chcieli, żeby Mikołaj car — bił się z Mikołajem królem polskim — rzucili się do nóg Francyi, ciągnęli koła u napoleońskiego wozu, aż ich zgruchotał. — I żaden zaród, żadna klęska, żaden upiór rzezi nie wyleczył ich do dzisiaj z tego fetyszyzmu. Z dyplomatycznych not pozszywali sobie sztandary, i jak woła Baliński w hymnie:

„Nazywamy cię Królową,
„Królową Polski i Litwy —
„A oto nie ma już tronu,
„Coby żebraczego tonu
„Naszéj nie słyszał modlitwy!“

Ale są to sprawy nie narodu, to tylko ludzi niewczesne igraszki! Naród inne ma drogi i inne hasła. Całą potęgą woli, ufności w siebie i poczucia nowych sił, podniósł narodowe hasło wtóry Piast odrodzenia naszego, Kościuszko — i na cały wiek naprzód wytknął drogi dziejowe. Za pługiem znalazł obywateli, o miliony piersi rozszerzył widnokrąg i granice ojczyzny. I odtąd ciągnie się nieprzerwalny łańcuch prac dla dokonania podniesionego hasła. Każde powstanie przynosi swoją cegiełkę do budowy przyszłości, aż oto ostatnie zatknęło już zieloną gałązkę u szczytu. Wszystkie członki narodu poczuły się jedném ciałem, lud został ostatecznie usamowolniony, wyznania i stany równouprawnione; na warszawskim bruku i na pobojowiskach spoczywają chłopi i szlachta, i mieszczanie i żydzi, i Polacy i Litwini i Rusini. I dokonany jest triumf duchowy, zasięgnięto prawdziwéj tradycyi, utorowane ścieżki dla prawdy, wycięte raki, wyplenione chwasty, ubezsilnione upiory, zabliźnione rany, „i odrobione co było nieprawe, grzech się przeoblekł w cierpienie“, i „w niebie już po dekrecie“, jak pisał ksiądz Marek.

Ale te zwycięztwa ducha, są jeszcze na ziemi męczeńskiemi stacjami. Ozdrowiał naród, ale po niemocy nie od razu przychodzi się do sił i do swobodnego używania wszystkich członków. Młodę orlę musi porość w pierze i nauczyć się słonecznych lotów. Odrodzenie społeczne, moralne, umysłowe musi iść ręka w rękę z politycznèm; wszystkie struny narodowego życia muszą grać, wszystkie warstwy narodu do tańca przyszłości porywać, ze wszystkich rekrutować przednie straże; i dopiero kiedy te placówki przestaną być straconemi i będzie ich tyle, że ich sygnał aż wszystkie pająki w ich norach obudzić będzie wstanie — wtedy wybije godzina.

Ta rekrutacja — to wewnętrzna praca narodu, a jéj naczelnymi pionierami są: literatura i sztuki piękne. Są to aniołowie nieśmiertelni, niezmordowany ich trud. — Od chwili upadku podjęli nanowo przerwaną nić i potęga ich rośnie w oczach naszych.

Przypatrzmyż się bliżéj téj służbie; takie wejście w siebie jest jak zaczerpnięcie świeżego oddechu i pokrzepienie na dalszą drogę.

(Ciąg d. n.)

Syn Baszy.

BALLADA*).

Kantymir basza usiadł pod namiotem,
Gwałtownym ruchem odrzucił oponę,
I patrzał w pole, gdzie legły pokotem
Trupy tatarską szablą wysieczone.

Kantymir patrzył się okiem tygrysa,
Który łup świeży w swoich szponach trzyma,
I jeszcze ciepłą z niego krew wysysa —
Wściekłość i radość buchały oczyma.

Wtem do namiotu prowadzą młodziana,
Pierś ma bezbronną i na głowie nagiéj
Krwią się zalewa otworzona rana,
Z życia w nim wszystko znikło — prócz odwagi.

„Jestem twym brańcem — młodzieniec doń rzecze,
„Dostałem ci się przez losów igrzysko,
„Szlachetna krew ta, która z ran mych ciecze,
„A Daniłowicz jest moje nazwisko.

„Poszlij do Polski, a okup bogaty
„Stokrotnie tobie niewolnika spłaci,
„Mój ojciec przyszle złoto i bławaty,
„Bo w mego ojca domu — nie mam braci“.

„„Psie chrześcijański — Kantymir zawoła,
„„Krew mi twa droga, a nie twoje złoto,
„„Tobie chcę dumę zetrzeć z tego czoła,
„„A ojca wieczną nakarmić zgryzotą!

„„Synu — na blizko stojącego skinie —
„„Tnij w kark ten, zapraw twą rękę na wrogu,
„„Na ciebie zdaję dziś w tym jednym czynie
„„Zemstę mnie winną i naszemu Bogu!““

---

*) Treść téj ballady wzięta z pamiętników ks. Albrechta Radziwiłła.

Lecz młody aga zadrżał na te słowa,
Skroń mu pobladła, gniewem błysły oczy:
„Ojcze, ta ręka słuchać cię gotowa,
„Lecz w bezbronnego niech się krwi nie broczy.

„Tarczy nie dźwignie on w zemdlonéj dłoni,
„Za miecz nie chwycą osłabione pięście,
„Przed moją szablą jego życia broni
„Młodość, szlachetność, męztwo i nieszczęście!“

Basza w milczeniu po siepaczy kole
Powiódł oczyma — na jednym zawisnął.
Zrozumiał sługa swego pana wolę,
Wydobył szablę, na brańca się cisnął.

I mieczem w szyję uderzył młodziana.
Rycerz się zachwiał i wsparty na ręce,
Pod ciężkim ciosem upadł na kolana,
Otwartém okiem mierząc koniec męce.

I drugi cios padł — ale ogień wzroku
Niestałe życia dawał czuć ognisko:
Bez sił, lecz żywy, w własnéj krwi potoku
Konaniem sprawiał swym wrogom igrzysko.

Ha, co w téj duszy szlachetnéj się działo,
Jaki bój zawrzał boleści i dumy,
Gdy zimném okiem, z twarzą osłupiałą
Patrzał na dzikie swych siepaczy tłumy!

Nagle oblicze jakąś myślą błysło,
W oczach się dziwny uśmiech łzami zrosił,
Podniósł od ziemi słabo dłoń obwisłą,
Spojrzał na agę — jakby o coś prosił.

I aga jednym rzutem doń przyskoczył,
Nagim kindżałem w oczy wszystkim błysnął,
W pierś go bezbronną po rękojeść wtłoczył —
Rycerz z uśmiechem jego dłoń uścisnął.

I skonał. Wszyscy zbiegli przerażeni,
Lecz aga został, nie puszczając ręki;
Noc już zapadła, a wśród nocnych cieni
W pustym namiocie słychać było jęki.

Ad. B.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

IV.

Domek na ustroniu.

Przez jednę ze znaczniejszych ulic Warszawy pędziła cwałem doróżka, w któréj siedział jakiś wojskowy wyższéj rangi; poznać to można było po błyszczących złotem szlifach, które się trzęsły na jego ramionach. Doróżka zatrzymała się przed jedną kamienicą i wojskowy wyskoczył z niéj szybko, wbiegł po schodach na pierwsze piętro i pociągnął silnie za rękojeść dzwonka. Drzwi się wnet otwarły — wojskowy wszedłszy, zrzucił futro na ręce służącego i spytał:

— Doktor w domu?

— Wyjechał na wieś do chorego, ale wróci popołudniowym pociągiem, co chwilę go się spodziewam. Może pan zatrzyma się w jego pokoju.

To mówiąc pchnął drugie drzwi prowadzące do kancelaryi doktora. Pułkownik wszedł tam i usiadł. Twarz jego nosiła ślady zniszczenia, jakie zostawia po sobie choroba lub wielkie zmartwienie, przeciągła się w ostre rysy, usta cierpko się zacinały, zapadłe oczy miały ponury blask lamp pogrzebowych, a na policzkach czerwienił się chorobliwy, gorączkowy rumieniec. W cierpieniu jego była gwałtowność, niepokój. Nie dosiedział długo na miejscu, spojrzał na zegarek, wstał i chodził po pokoju. Dla skrócenia czasu rozglądał się po obrazach, z których kilka było roboty doktora. I patrzenie go zniecierpliwiło — odwrócił się i chodził znowu. Koło okna zatrzymał się czas jakiś; wśród gęstych bluszczów, które się zieleniły po lewéj stronie, wisiał jakiś blady sztych w dużych złotych ramach, sztych był dość lichy i zdawał się być nie wart tych ram bogatych i tego romantycznego ustronia wśród bluszczów, chyba, że był jakąś cenną pamiątką lub w oryginalny sposób robiony. Pułkownik chcąc się o tém przekonać, przysunął się bliżéj i dotknął się obrazu. W dotknięciu przekonał się, że nie był nawet oszklony i nie dość dobrze przystawał do ram, chciał go więc poprawić, gdy wtém sztych przechylił się i spadł na ziemię — odsłaniając olejny obraz cudownéj roboty i delikatności. Pułkownik spojrzał — i cofnął się w tył ze zdumienia i zachwytu. Obraz przedstawiał portret młodéj dziewczynki z kwiatkiem w ręku, do którego zbiega motyl o błyszczących tęczowych barwach. Dziewczynka ślicznéj urody, miała twarzyczkę alabastrowéj białości, bez rumieńca, gdzie niegdzie lekko błękitną żyłkę przeciągniętą; na odkryte ramionka spadały w artystycznym nieładzie rozrzucone czarne włosy, ustka otwarte lekko, a czarne, bezdenne oczy przyćmione długiemi rzęsami, goniły motylka, którego kwiatkiem nęciła ku sobie, a podniesioną rączką usiłowała złapać.

Pułkownik spojrzawszy na obraz zawołał: Irreoltema. Tak złudne podobieństwo było dziewczynki na obrazie z kobietą, któréj rysy nosił w sercu. Ale zkąd ten obraz tutaj? Kto jest ta dziewczynka — czy to jéj portret, czy tylko przypadkowe podobieństwo?

Pułkownik zadawał sobie szybko te pytania stojąc osłupiały przed portretem. Nie miał jednak czasu odpowiedzieć sobie na nie, zebrać myśli, ani napatrzyć

się obrazowi, bo w téj chwili w przyległym pokoju słyszeć się dały kroki i głos doktora. — Pułkownik zasłonił prędko portret sztychem i zwrócił się ku drzwiom, przez które właśnie wchodził gospodarz mieszkania.

Był to człowiek młody jeszcze latami, ale poważny w obejściu i spokojny w ruchach. — Duże myślące czoło powiększały znacznie od przodu przerzedzone jasne włosy, nosił długą blond brodę — a niebieskie oczy nieco w głąb wsunięte pod cień sklepionego czoła, miały spojrzenie łagodne, ale pewne i stanowcze. Wszedłszy powitał pułkownika serdeczném, mocném uściśnieniem ręki; poczém wpatrując się w jego twarz, rzekł z współczuciem:

— Co się tobie stało pułkowniku, jesteś mocno zmieniony, tyś chory? i wziął go za puls.

Pułkownik odsunął rękę i rzekł z udanym spokojem.

— Owszem, zdrów jestem. Nie po radę lekarską przyszedłem do ciebie. Mam inny interes. — Usiądź.

Siedli pod oknem na kozetce. Pułkownik wziął z biurka nóż od papieru i bawiąc się nim, rozpoczął:

— Mówiłeś mi nie dawno konsyliarzu, że żyjemy na wulkanie, że każda chwila może przynieść z sobą wielkie, niespodziewane zmiany — wspominałeś mi coś o tajnych związkach organizacyi — odzywałeś się do mnie nie jak do pułkownika, ale jak do syna téj ziemi, na któréj się urodziłem.

— Odmówiłeś mi wtedy pułkowniku. Zrobiłeś to, czego się najmniéj spodziewałem po tobie.

— Miałem swoje w tém powody, może i zasady. Wychowałem się w innych pojęciach, daleko od kraju; ludzie, których wy nazywacie wrogami, najezdnikami, byli moimi kolegami i przyjaciołmi, stan żołnierski moją ojczyzną. Zdradzić tych, wśród których żyłem, złamać przysięgę żołnierza, wydawało mi się zbrodnią.

— Dziś widocznie zmieniłeś zdanie.

— Nie mówmy o tém. Przyszedłem ofiarować wam moje usługi, chcę należeć do organizacyi.

— Ojczyzna zyskuje w tobie syna — zawołał z radością doktor.

— Mylisz się. Nie zmieniłem na włos moich przekonań; co czynię, czynię ze wstrętem, honor mój odwraca ze wstydem oczy od słów moich i rumieni się za mój postępek.

— Dalibóg, nie rozumiem cię pułkowniku.

— I ja siebie mało rozumiem. Czuję czczość, nudę, pustkę tutaj — w sobie, chcę burzy, walki — rzucam się więc wbrew moim przekonaniom, wbrew wszystkiemu — chcę się szamotać — i zginąć. Samobójstwem się brzydzę — szukam więc śmierci u was.

— Mowa twoja bezbożna pułkowniku.

Pułkownik wstał i rozśmiał się dziko, jałowo:

— Bezbożna? Ha, doskonały jesteś doktorze. Chcesz nabożnisiem zrobić tego, który zatracił nawet pamięć, gdzie w jego duszy stał posąg wiary. Jest w waszym kościele jakaś uroczystość — nie pamiętam kiedy, podczas któréj zasłaniają kirem krzyże, wywracają świeczniki na ołtarzu, — to obraz mojéj duszy; zedrzyj kir, a zobaczysz w nim miasto krzyża ciemną pustkę, któréj nawet hamletowskie zapytanie nie zapełnia, nie rozjaśnia. — Nic — tabula rasa. Pisałem na niéj od czasu do czasu różne nazwiska — i ręką doświadczenia, rozczarowania zcierałem je po kolei, dziś kreski i pokrzywione rysy zostały po nich, jak blizny po starych ranach.

— I czy z tém jesteś szczęśliwy, żeś odrzucił i podeptał to, w co inni wierzą?

— Czym szczęśliwy? Gdybym nim był, czyż rzucałbym się w takie szaleństwo, do jakiego mnie teraz wiedzie rozpacz i zwątpienie?

— Więc zejdź z téj drogi, na któréj nie znalazłeś spokoju.

— Dziecko z ciebie doktorze. Czyż można wiarę odtworzyć sobie, wmówić w siebie, pożyczyć, kupić? Nic. Młodość i nieświadomość podają nam do ust pełną czarę tego nektaru, co się wiarą nazywa, kto ją wychyli do dna, uczuje na spodzie mętną gorycz doświadczenia i pusty czerep w dłoni. Drugi raz cud się nie powtórzy.

— Jestem starszym od ciebie pułkowniku, a nie widziałem dna téj czary.

— Bo cedzisz z niéj napój po kropelce. Wiara jak każda namiętność łechce nerwy dotąd, póki nie zadowolnimy jéj zupełnie — wtedy następuje przesyt.

— Na Boga, co mówisz pułkowniku: wiara u ciebie namiętnością?

— Namiętnością, uczuciem, nazwij to jak chcesz, mniejsza o nazwę, dość, że rzecz prawdziwa.

Doktr spojrzał na mówiącego i pokiwał smutnie głową.

— Chorym jesteś pułkowniku?

— Źleś powiedział, jestem trupem zabalsamowanym, który ma wszystko co na zewnątrz znamionuje człowieka, ale wewnątrz nie ma nic — nic.

— Więc to nic, tę ruinę człowieka chcesz oddać na ołtarz ojczyzny?

Taką ofiarę odrzucić musimy.

— Będę ślepym wykonawcą waszych rozkazów, będę zabijał gdy każecie, spiskował, zdradzał mój rząd — czegóż więcéj chcecie odemnie?

— Serca całego.

— Dam wam odwagę, jaką ma człowiek, który chce umrzeć; będę się rzucał na największe niebezpieczeństwa, dokonywał niepodobnych rzeczy — i za to nie żądam wdzięczności, miłości waszéj, sławy, ani męczeńskiéj palmy — od was nic, nic nie chcę, a od tych, którym przysięgałem, chcę stryczka lub kuli. Za tak małą cenę — czyż możecie odrzucić moje usługi?

— Powinniśmy. My walczymy w imieniu najświętszéj sprawy, bo sprawy wolności; ludzie więc, którzy

téj idei mają być apostołami, powinni ile ich sił i możności, stać się jéj godnymi życiem, duchem, słowem.

— Czy skrytobójcy, co się rzucali na nas są takimi apostołami? spytał pułkownik z ironicznym uśmiechem.

— To nie byli skrytobójcy, oni w jasny dzień rzucali się na naszych prześladowców, których posiłkowały armije bagnetów i szubienice cytadeli, oni dawali życie za życie. A zresztą to najciemniejsza strona naszych czynności, którą okoliczności, położenie nasze jeżeli nie rozjaśniają zupełnie, to przynajmniéj w części usprawiedliwiają; ale mamy inne, piękniejsze, od których wzrok odwracasz. W organizacyi naszéj są ludzie, którzy mogli cieszyć się w cichości odrobiną szczęścia domowego, opływać we wszystko; a jednak ci ludzie wyrzekli się tego wszystkiego — dla drugich, przestali żyć dla siebie. I ty z tymi ludźmi pełnymi zaparcia się, poświęcenia, ofiar, chcesz stanąć w jednym szeregu, ty, który na ofiarę przynosisz resztki życia ocalone od strzału pistoletu? Czyż wstyd nie spaliłby ci twarzy pułkowniku, gdybyś się między nimi znalazł?

— Gdzież więc zawlec, gdzie rzucić te resztki życia, które noszę z obrzydzeniem jak zbłocone łachmany?

— Oczyść je miłością dla kraju, w ogniu téj miłości i poświęcenia dusza twoja oczyści się i wyjdzie świecąca jak złoto.

— Ty wierzysz w takie odrodzenie?

— Wierzę, zwłaszcza u ciebie. To co mówisz o czczości, przesycie, jest czczą deklamacją, w tobie jest życie, ale jakaś ciężka boleść przygniotła je. Tyś nie przeżył, aleś odrętwiał pod jakimś ciosem. Czy można zajrzeć w głąb twoich tajemnic? Nie ciekawość, ale przyjaźń mnie tam wiedzie.

— Nie, nie, — dajmy temu pokój, nie mówmy o tém — rzekł pułkownik zerwawszy się z krzesła. Mówisz tak, bo nie znasz mnie. Przekonywać cię nie będę.

— Ty cierpisz bardzo — rzekł doktor biorąc rękę pułkownika, którą mu ten wyrwał z pośpiechem.

— Nie, nie, mylisz się — odrzekł i zwrócił rozmowę na co innego.

Po chwili usiadł i odezwał się:

— Ale, ale, czyj to obraz? Tu pokazał na obraz wiszący wśród bluszczy.

— To jakiś stary sztych — odrzekł doktor mięszając się.

— Ja nie o sztych się pytam, ale o to, co się po za nim ukrywa.

— Więc widziałeś?

— Przypadek odsłonił mi tę tajemnicę. Kto jest ta dziewczynka?

— Towarzyszka moich lat dziecinnych.

— Któż malował ten portret?

— Ja sam.

— W Petersburgu gdyśmy się poznali nie widziałem u ciebie tego portretu.

— Zrobiłem go późniéj.

— A więc z pamięci?

— Tak, z pamięci.

— Musiała ci być drogą pamięć téj dziewczynki?

— Z nią wiązały się wspomnienia mojéj młodości. Mieszkaliśmy w jednym domu, bawialiśmy się razem. Najulubieńszą jéj zabawą było wychodzić na dach i po szczycie jego chodzić z rozpiętemi jak skrzydełka rączkami. Gdym ją tak widział kołyszącą się na szczycie dachu lubo nie zbyt spadzistego, truchlałem z trwogi i przerażenia, wtedy ona klaskając w ręce śmiała się ze mnie i mówiła: nie bój się, ja lubię wysoko chodzić, jak będę starszą — to będę jeszcze wyżéj się spinać. Gdy mówiła tak, musiałem jéj wierzyć, bo ta mała miała dziwną władzę nademną i zrobiła mnie swoim niewolnikiem. Byłem zawsze na jéj usługi; nieraz całemi godzinami wpatrywałem się w nią ze szkodą łaciny; ona wtedy zdawała się nie widzieć tego, ale gdym chciał odchodzić zabraniała — zostawałem więc i przylgnąłem bardzo do tego dziewczęcia, choć nieraz widziałem w jéj charakterze rysy, które mnie strachem przejmowały. I tak pamiętam raz uwiązała gołębia i jastrzębia na jednym sznurku przywiązała je na końcu wysokiego drążka sterczącego w ziemi i usiadłszy opodal przypatrywała się z zajęciem i upodobaniem nierównéj walce, a potém rozpacznemu szamotaniu się jastrzębia, który w końcu bezsilny zawisnął na sznurku. Ta mała drobnostka tak utkwiła w mojéj pamięci, że tyle lat nie zdołały jéj zatrzeć w pamięci.

— I długo byliście tak z sobą?

— Dwa lata. Potém ja wyjechałem do Warszawy, następnie do Petersburgu.

— A ona?

— Poszła za mąż.

— I nie widzieliście się potém więcéj?

— Owszem, widziałem ją przed kilkoma godzinami.

— Więc ona jest tu — w Warszawie.

— Nie, na wsi. Byłem u nich, leczę jéj męża.

— Imię téj kobiety?

— Pułkowniku, bawisz się ze mną w udawanie. Wszak musiałeś w tych dziewczęcych rysach poznać znajomą ci kobietę? Dla tego właśnie powiedziałem ci wszystko, byś w tym zasłoniętym obrazie nie widział tajemnic, których nie ma.

— Więc to Irreoltema?

— Tak.

— I ty jesteś lekarzem mego brata?

— Już od jakiegoś czasu.

— A nie wspominałeś mi nic o tém.

— Było to życzeniem Irreoltemy; prosiła również bym przed jéj mężem nie wydawał się z twoją znajo-

mością. Nie wiem jakie ma w tém powody, ale uczyniłem zadość jéj żądaniu.

Pułkownik słuchał w roztargnieniu ostatnich słów doktora. To, o czém się dowiedział, było tak niespodziewane, dziwne, że sprawy sobie z tego zdać nie umiał. Jemu się zdawało, że opuściwszy dom brata, wyszedł z zaklętego koła wpływu téj kobiety, i jak błędny kometa roztrąca się wśród nieznanych światów, aż nagle ujrzał, że to koło aż tutaj rozszerzyło swe kręgi, że i tu są ludzie, którzy ją znali, znają — a może co więcéj. Podejrzenie jak gadzina ukąsiło go w serce, spojrzał badawczo w oczy doktorowi i spytał:

— Więc ty kochasz tę kobietę?

Doktor spuścił oczy w ziemię i milczał. — Pułkownik zawrzał cały, zerwał się i przystąpił ku niemu.

— Kochasz ją? — A ona?

— Zkąd to pytanie? Zapominasz pułkowniku, że ona ma męża. Gdyby była wolną, nie wiem, czy zdobyłbym się na powiedzenie jéj, na zdradzenie się przed nią z moją miłością — a cóż dopiero teraz. Są miłoście bez słońc, bez gwiazd, bez nieba — powiedział poeta. Do takich należy moja. A ciebie tylko przypadek zaprowadził w te ciemne tajemnicze kryjówki, w których zamurowałem miłość moją żywcem jak Antigonę.

— A gdyby przypadek usunął przeszkody dzielące cię od niéj? — spytał pułkownik i niecierpliwie zawisnął wzrokiem na ustach doktora wyczekując odpowiedzi.

— Gdyby się tak stało.... tu zamyślił się doktor.

— To cóż?

— To stworzyłbym sobie nowe, nieprzebyte przeszkody, bo o ile kocham tę kobietę, o tyle się jéj boję. Jest to dla mnie piękność straszliwa, na którą z uwielbieniem i zachwytem patrzeć mogę, ale nie umiałbym z nią żyć, pieścić się i być szczęśliwym. Dawniéj gdy matka opowiadała nam powieści o duchach, doznawałem podobnego wrażenia. W téj kobiecie jest demoniczność, która pociąga — i oddala zarazem.

— Nie zupełnie rozumiem cię doktorze — sądziłem, że medycyna inne ci dała pojęcia o miłości. U mnie miłość — to rozkoszne drzenie nerwów, ciągła irrytacja. Taki stan gorączkowy — to się u mnie nazywa życie, po za tém nic. Popędzać krew w żyłach tém namiętném uczuciem lub ziewać — jedno z dwojga. Mnie teraz zostało to drugie.

— Nie zgodzimy się nigdy w zapatrywaniach.

— Mniejsza o to, nie chcę być apostołem zapatrywań, które mnie samemu nie zbyt wystarczają do szczęścia.

Rozmowa na chwilę się przerwała; doktor porządkował papiery, pułkownik brzękał palcami po szybach. Po niejakim czasie odwrócił się i zapytał:

— Jakże znalazłeś mego brata — doktorze?

— Bardzo źle. Nie sądziłem, że użycie morfiny, którą mu przepisałem tak zgubnie podziała na jego organizm; skutki tego są zbyt widoczne: cofnąłem więc to lekarstwo.

— Cóż mu więc jest?

— Dawniéj była bezsenność, nerwowy ból głowy. Teraz nastąpiła jakaś ociężałość, stępienie myślenia i pamięci; a częste wybuchy gwałtowne, do jakich zdaje się być skłonnym, pogarszają ten stan jeszcze bardziéj. Ten przebieg choroby u niego jest mi trochę niewytłomaczonym.

— I długo w podobnym stanie żyć może?

— Przy starannéj kuracyi pociągnie czas jakiś.

Znowu umilkli na czas jakiś. Tą razą doktor przerwał milczenie.

— Więc cóż pułkowniku — możemy rachować na siebie, na twoje przywiązanie do kraju, na twoje poświęcenie?

— Co mnie obchodzi kraj? Jeżeli się nauczę żyć — to będę żył tylko dla siebie.

— Taka mowa grzechem, a takie życie zbrodnią. Wiesz co powiedział poeta:

Bo kto używa
Żywota, obok potoku
Którym sprawy Boże płyną,
Kto chce spokojny z rodziną
Swoją kość gdzieś gryść na boku,
Wiejskich kosztować słodyczy,
Choć się nie policzą ludzie,
To się Bóg z takim policzy.

W téj chwili głośny krzyk i łoskot upadającego pod drzwiami ciała przerwał dalszą rozmowę. Doktor zerwał się i poskoczył ku drzwiom, otworzył je i zobaczył młodą kobietę wpół omdloną, która zdyszanym i zmęczonym głosem ledwie mogła wyrzucić z piersi prośbę:

— Ratujcie!

Doktór chwycił omdlałą wpół, podniósł z ziemi i cucącemi środkami przywołał do przytomności. Młoda kobieta otworzyła oczy, spojrzała niemi niespokojnie w koło i zatrzymała je na doktorze.

— Gdzież ja jestem?

— U doktora.

Przeciągnęła ręką po czole jakby usiłowała zebrać myśli i szepnęła cicho:

— Bogu dzięki.

— Czy pani potrzebujesz rady lekarskiéj? — zapytał podając jéj krzesło.

— Nie, chroniąc się tutaj, nie myślałam, że trafię do doktora; szukałam tylko uczciwych ludzi i ich obrony przeciw podłym.

Tu zwróciła z przestrachem oczy na drzwi.

— Co się pani stało?

— Jakiś człowiek nadużył mego zaufania — okropnie nadużył.

Usiadła i odetchnęła cicho — potém dalej mówiła:

— Wracałam ze Starego-Miasta, gdy wtém koło kolumny Zygmunta przypadkowe pośliznięcie się pozbawiło mnie latarki. Nie wiedziałam co począć — truchlałam na myśl, że mogę być aresztowaną. W téj chwili jakiś młody człowiek z latarką przypiętą jak róża do surduta, przechodził koło mnie — w jednéj chwili przyszło mi postanowienie, do którego tylko śmiertelny przestrach mógł skłonić kobietę — powierzyłam się jego opiece i prosiłam, by mnie zaprowadził do matki. Z uśmiechem, który mnie dreszczem przejął, podał mi rękę i prowadził przez różne ulice. Zwróciłam jego uwagę, że źle idziemy, że mieszkam w ustronnéj części Chmielnéj. Nic nie odpowiadał, czasami tylko nachylał się ku mnie, a wtedy oczy jego jakiemś szatańskiém błyszczały światłem. Trwoga niewymowna ogarnęła mnie czegoś, nie zdradzałam jéj jednak słowami, udawałam ufność i spokój. Gdy naraz ten człowiek skręcił do jakiejś dużéj narożnéj kamienicy, nie daleko stąd.

— Gdzie mnie pan prowadzisz? spytałam.

— Tu mieszkam, odrzekł i pociągnął mnie za sobą. Wyrwałam z całą siłą na jaką się zdobyć mogłam moją rękę zpod jego ramienia i nie dbając już o to, na co się narażam, poczęłam biedz co tchu. Zdawało mi się, że mnie to ocali. Ale ten nikczemnik nie mogąc mi nadążyć, krzyknął na dozorcę policyjnego, by mnie aresztował. Strwożona wpadłam do tego domu, a słysząc jego kroki za sobą, biegłam aż tutaj.

— Więc ten nędznik aż tutaj śmiał panią gonić? — spytał doktór, i wziąwszy pospiesznie kapelusz, wybiegł z pokoju. Tuż przed drzwiami zderzył się z jakimś wysokim mężczyzną.

— Kto tu? — krzyknął groźnie.

— Czy pan jesteś doktór N.? — spytał nieznajomy.

— Tak.

— Jestem Teodor W. pański naczelnik w organizacyi narodowéj.

— Wiem o tém.

— Przed chwilą weszła do tego domu kobieta młoda, do któréj mam pewne prawa. Ta kobieta weszła w te drzwi, do pańskiego mieszkania. Pozwolisz pan, że ją z sobą zabiorę.

To mówiąc, postąpił ku drzwiom o krok daléj. Doktór w gwałtownym ruchu zastąpił mu drogę.

— Ani kroku daléj.

— Jestem przełożonym twoim, żądam posłuszeństwa.

— I będę nim, gdzie idzie o sprawę kraju, ale nie tam, gdzie się targasz na cnotę kobiety. Bezcześcisz sztandar, pod który się zaciągnąłeś, hańbisz sprawę, któréj jesteś organem. Gardzę tobą i nie znam cię.

— Nie na kazania tutaj przyszedłem — rzekł nieznajomy pogardliwie, i chwyciwszy silną ręką doktora, chciał go odsunąć na bok i sam wejść do pokoju. Ale doktór był przygotowany na ten ruch, oparł się nogą o drzwi i tak silnie uderzył całém swém ciałem nieznajomego, że ten zachwiał się, zatoczył i spadł na schody.

Doktór nie czekał aż wstanie; wrócił do pokoju i rzekł:

— Pułkowniku, trzeba nam odprowadzić tę panienkę — matka jéj może być niespokojną.

Młoda kobieta podziękowała mu za te słowa łagodném spojrzeniem.

Za chwilę wyszli — doktór podał rękę kobiecie, i idąc z nią, upatrywał przed domem nieznajomego. Nie było go już. — Zawołał na dorożkę i wsiedli.

— Gdzież mam panią odwieść, pytał doktór z uszanowaniem swéj towarzyszki.

— Ulica Chmielna — na końcu — zresztą ja sama pokażę.

Dorożka unosiła ich pędem przez ulice pełne świateł ruszających. Rozkaz rządu moskiewskiego nakazywał już wtedy noszenie latarek, przez co każda ulica miała taki pozór wieczorem, jakby przez nią kondukt żałobny przechodził.

Osoby siedzące w powozie milczały. Naraz panienka odezwała się:

— Tutaj.

— Stój — krzyknął doktór na dorożkarza; potém wyskoczył i podał rękę wysiadającéj kobiecie.

Uliczka, na którą zajechali, była pusta prawie; po jednéj stronie ciągnął się mur długi, przy końcu którego mała furtka była. Przed tą właśnie furtką zatrzymał się powóz, panienka zadzwoniła: nie długo czekali, jakaś stara służąca wnet otworzyła furtką — panna podziękowała doktorowi za opiekę serdecznem uściśniem ręki, skinęła głową jego towarzyszowi i zniknęła w ogrodzie.

(Ciąg d. nast.)

O obłędach pospólnych

według publicznego odczytu

Dr. Oettingera.

(Ciąg dalszy.)

Ostatnie ślady tego wybryku, który coraz rzadziéj i słabiéj kilkakrotnie się jeszcze pojawiał, napotykały się w roku 1454.

W późniejszych wiekach w ogólności obłędy pospólne nikną całkiem z widowni świata, a jeżeli się w jakiém cichém ustroniu coś podobnego pojawi, jak przykład niedawny naucza, to nie przybiera ono ani tego rozpowszechnienia, ani tego rozgłosu, ani nie pociąga za sobą tych smutnych następstw. Pomimo to jednak choroby umysłowe nie tylko się nie zmniejszyły lecz owszem znacznie pomnożyły i to co do liczby

w ogólności, jak i co do rozmaitości swych pojawów, ale występują w różnych postaciach u różnych ludzi, gdy w średnich wiekach nagabowały gromadnie i w kształcie więcéj jednostajnym. Wynika to ze zmienionych stosunków społecznych. W średnich wiekach osoba jako taka nie przyszła jeszcze do uznania lecz chowała się na łonie różnych stanów, z których składała się społeczność. Śród narzuconéj prawda lecz troskliwéj wzajemnéj czułości i pewnéj obopólności w nałóg weszłych obowiązków przy małém w ogóle natężeniu umysłowém i szczupłém kole pojęć duchowych trudniéj było pojedyńczemu zboczyć samopas w błędnikach rozumu — a jeżeli się wydarzały tego rodzaju wybryki, to z wyliczonych właśnie przyczyn udzielały się gromadnie tłumom złożonym z ludzi jednego prawie usposobienia i jednego wykształcenia.

W nowszych czasach przeciwnie jednostka jako taka dobija się o uznanie w społeczności, każdy popęd, każda skłonność, każdy talent samodzielnie szuka rozwoju — granice stanowe znikły i każdy z osobna wynajduje sobie gwiazdę przewodnią. Większa swoboda pozwala wprawdzie rozrastać się wszechstronniéj spoczywającym w człowieku zarodkom talentu, ale im więcéj celów, im więcéj krzyżujących się dróg, tém łatwiejsze zbłąkanie. Jednostka z członka stanu jednego staje się obywatelem kraju, narodu, drobnostkowe przywiązanie do spraw cechu rozszerza się do wzniosłego i uszlachetniającego uczucia miłości całéj ojczyzny, i najdroższego jéj owocu tj. do wolności. Zwiększył się przez to nieskończenie zakres obowiązków. Stosunek ten stworzył nowe cele a zatém i nowe pragnienia, nowe żądze, nowe ambicje, które jak z jednéj strony są bodźcem użytecznym przysparzającym ogołowi sił dzielnych, tak z drugiéj strony dając powód do nadużyć, pomnażają przyczynę zboczeń umysłowych.

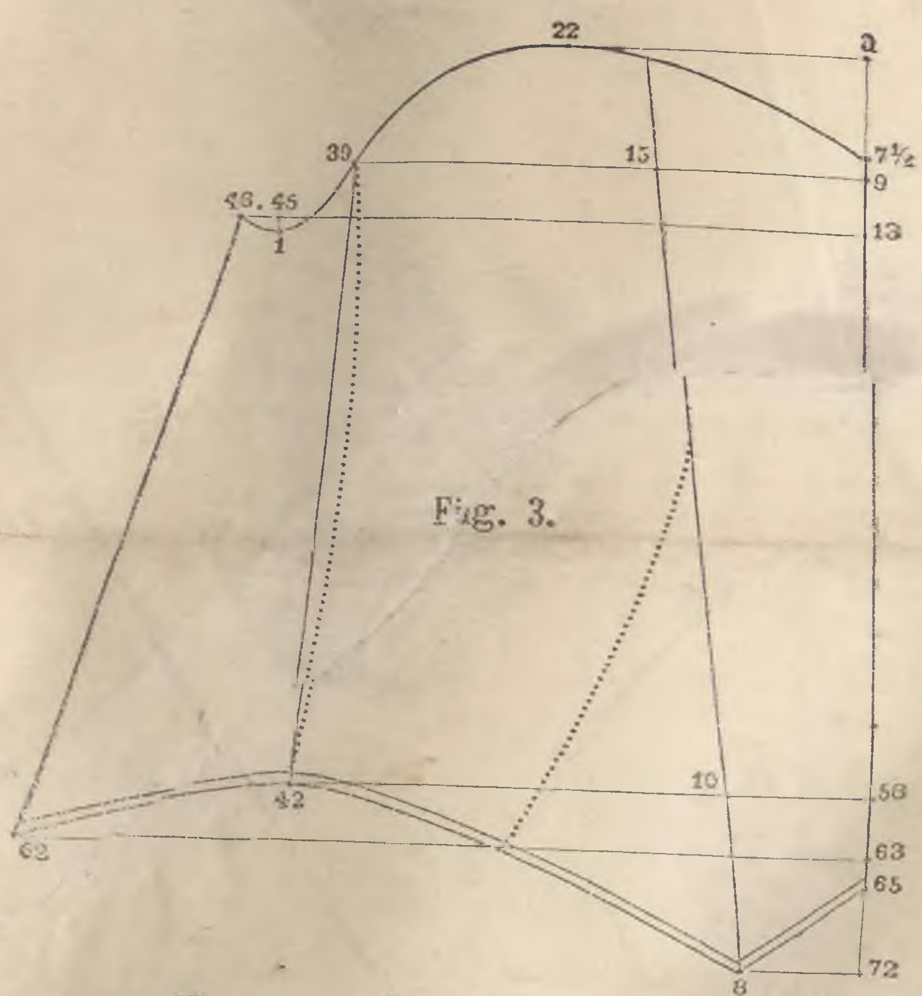
Jednakże gdy to większe uwydatnienie osobiste nie odrywa od społeczności lecz ściśléj z nią łączy, jako z koniecznym warunkiem swobody i wolności, przeto przy rozpowszechnianiu jaśniejszéj świadomości wzmacnia się także poczucie sprawy ogólnéj i staje się węzłem kojarzącym dobrowolnie wyzwolone jednostki do spólnych wyższych celów — tym sposobem tworzą się pewne ogólne prądy umysłowe, które spotęgowane sprowadzają zjawiska to wzniosłe, to szpetne według kierunku zbawiennego i szlachetnego, lub téż przeciwnie zgubnego i poziomego. Te zjawiska, które w pojedyńczych razach prowadzić mogą ludzi do rzeczywistego obłędu, w swém szerokiém rozpostarciu za chorobę jak to bywało w średnich wiekach, uchodzić nie mogą, gdyż im zbywa na koniecznych cechach téj doli, tj. na fizyczném cierpieniu i zniesieniu świadoméj woli. Dla tego téż nie zaliczymy do obłędów pospólnych lecz do szczytnych uniesień owych spólnych podrywów ducha, który uciskany długo niewolą lub tłumiony zastarzałemi i o- kamieniałemi formami przez ich trzaskającą i rozpadającą skorupę wybucha silnie, torując postępowi nowe drogi. Nie nazwiemy téż chorobą lecz opłakanym upadkiem moralnym smutnych zboczeń uwiedzionego i rozbeztwionego ludu nie wzdrygającego się w swém krwiożerczém zaślepieniu najokropniejsze popełniać zbrodnie; lecz do chwilowych dziwactw rozumu — nie należą tu także owe niezliczone wykrzywienia i spaczenia umysłu, w które usamowolniony zewnętrznie lecz nie wewnętrznie człowiek tak łatwo popada, t. j. ani owego mistycyzmu, który w naszym wieku wielekroć się uganiał i wielu zwolenników pozyskał, ani onych jasnowidzeń, ani wirujących stolików, ani pukających duchów.

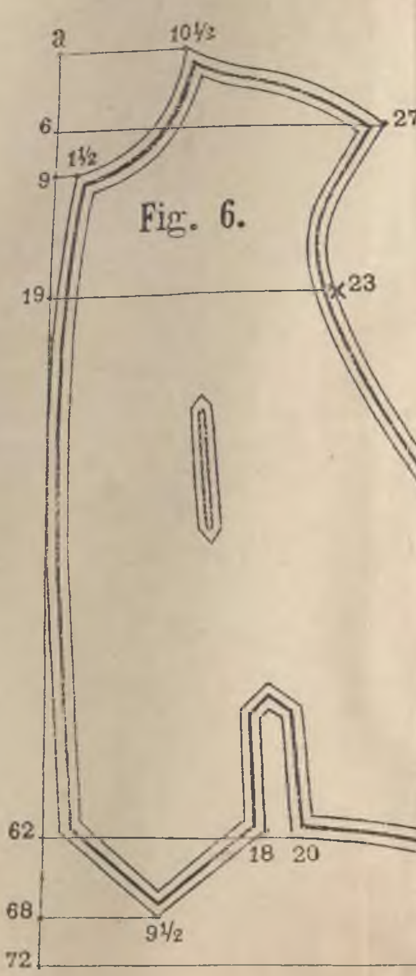
Wspomniemy tu tylko o jednym obłędzie szczególnym, który wydarzył się w zakącie Sabaudyi w wiosce Morsines śród okoliczności podobnych do średniowiecznych. Ludzie ci albowiem odosobnieni w swych górach, dalecy od prądów wielkiego życia, z przyrody nie chojnie uposażeni, słabowici, schorzali, cieleśnie i umysłowo nieudolni, z wykształceniem nader pierwiastkowém i do kilku tylko niejasnych pojeć religijnych ograniczoném, od roku 1857 począwszy, stopniowo w liczbie coraz większéj popadać zaczęli w obłęd nacechowany pewnemi złudzeniami umysłowemi w towarzystwie ruchów gwałtownych i mimowolnych. Początek temu dały dwie małe blondynki, u których według opowiadania spółmieszkańców dziwne spostrzegać miano rzeczy: oprócz rozmaitych drgawek, uważano nagłą biegłość we władaniu obcemi językami: francuzkim i niemieckim, a nawet łacińskim. Straciły przywiązanie do rodzin, stały się zuchwałemi i wyrażały się nader nieprzyzwoicie, niekiedy okazywały niepospolitą zręczność fizyczną np. przeskakiwały z drzewa na drzewo na objętość 8—15 stóp, lub téż spuszczały się zgrabnie głową na dół i t. p. Te zjawiska udzielały się wnet innym, w ciągu 7 miesięcy dotkniętych było 27. Uważano to na miejscu za opętanie i zaczęto używać wyklinań i zażegnywań. Zrazu miało to pomagać a mianowicie 17tu miało wrócić do zdrowia — lecz wielu niemoc rozszerzyła się tak znacznie iż w Grudniu r. 1860 była takich chorych 110. Zwróciło to uwagę nowego rządu francuzkiego, który wysłał na miejsce Dr. Constansa inspektora naczelnego wszystkich zakładów dla obłąkanych we Francyi. Zastał on ludność tameczną bardzo przygnębioną, lękającą się, że lada chwila całą szatan opęta. Odgrażała się srodze nieznajomemu sobie czarownikowi, sprawcy téj niedoli. Dr. Constans widział jeszcze 64 takich chorych same niewiasty niezamężne, pomiędzy niemi niedokrewne i chorobami różnemi nerwowemi nawidzone, zołzowe. Leniwe, gadatliwe, rozbujałe zbierały się grając w karty, roznamiętniając się nawzajem i zalewając bez miary w miejsc innego posiłku kawą. W tém usposobieniu lada co, głównie zaś powątpiewanie o ich opętaniu wystarczało do wywołania wybu-

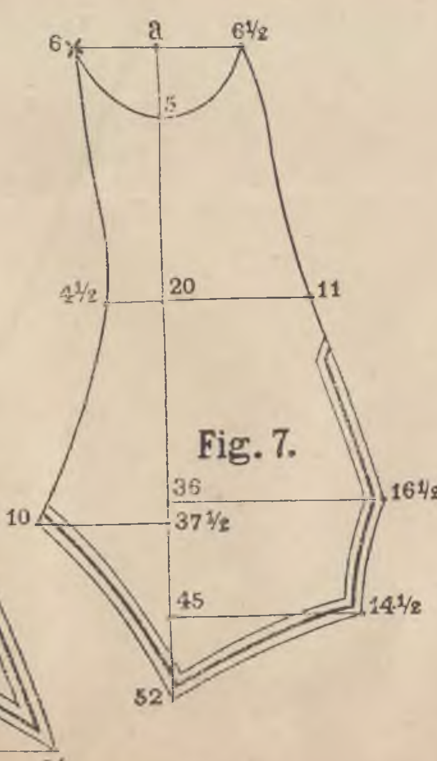
Planche I.

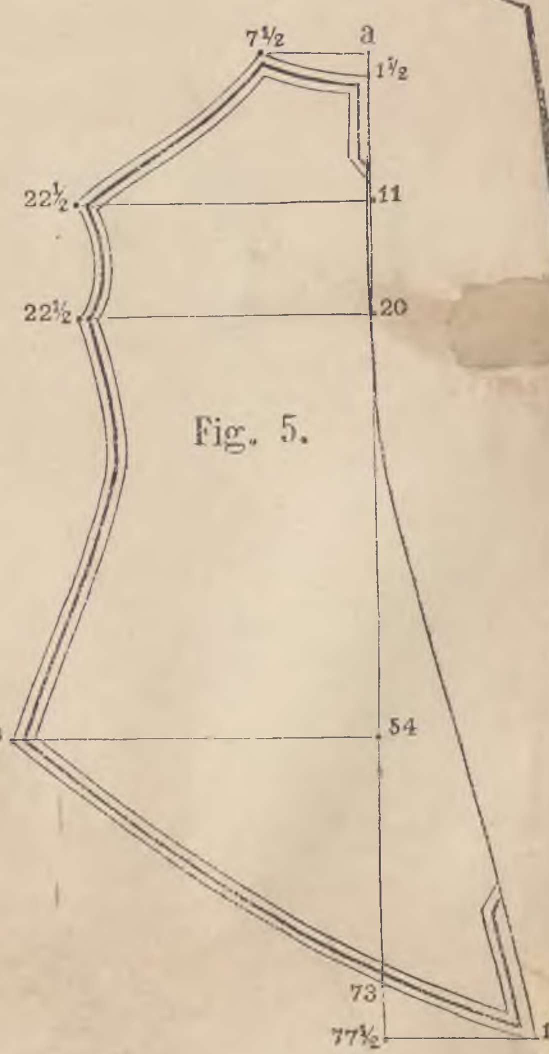
Fig. 11.

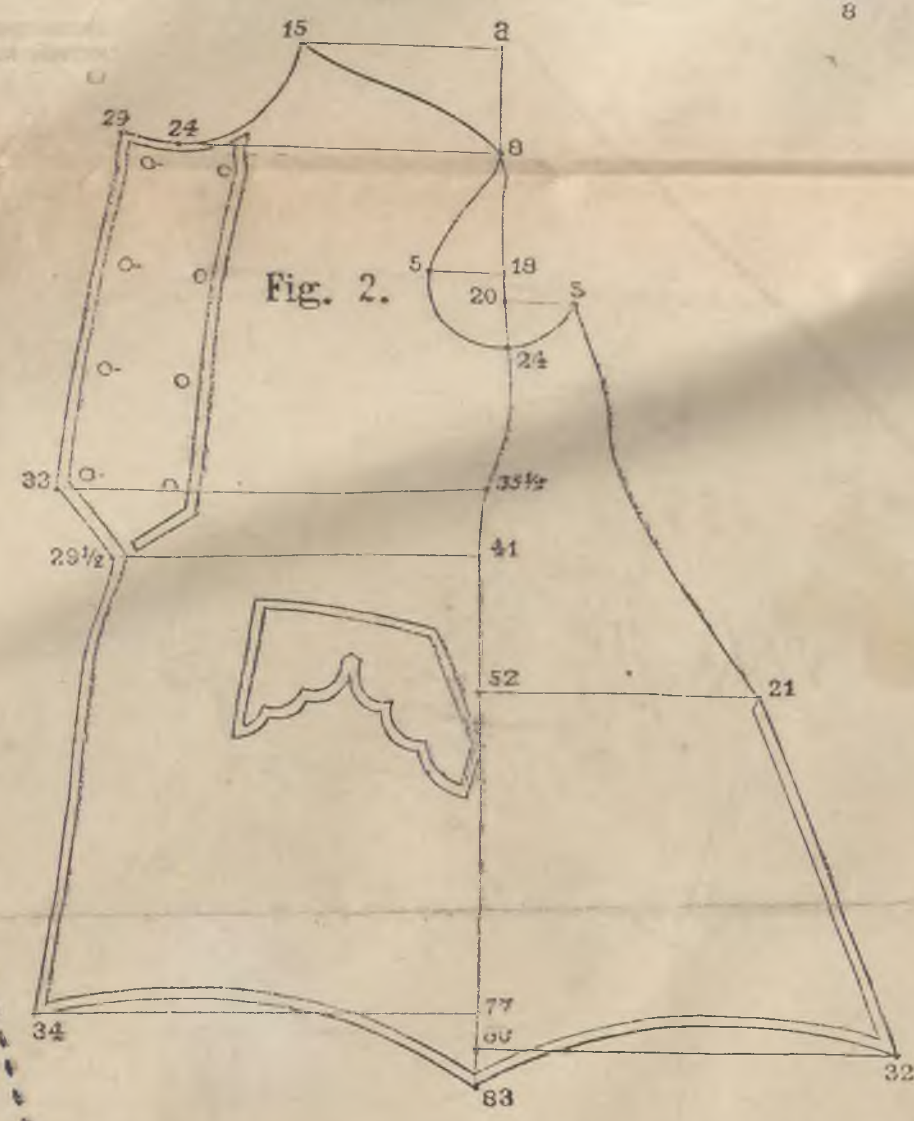
Fig. 12.

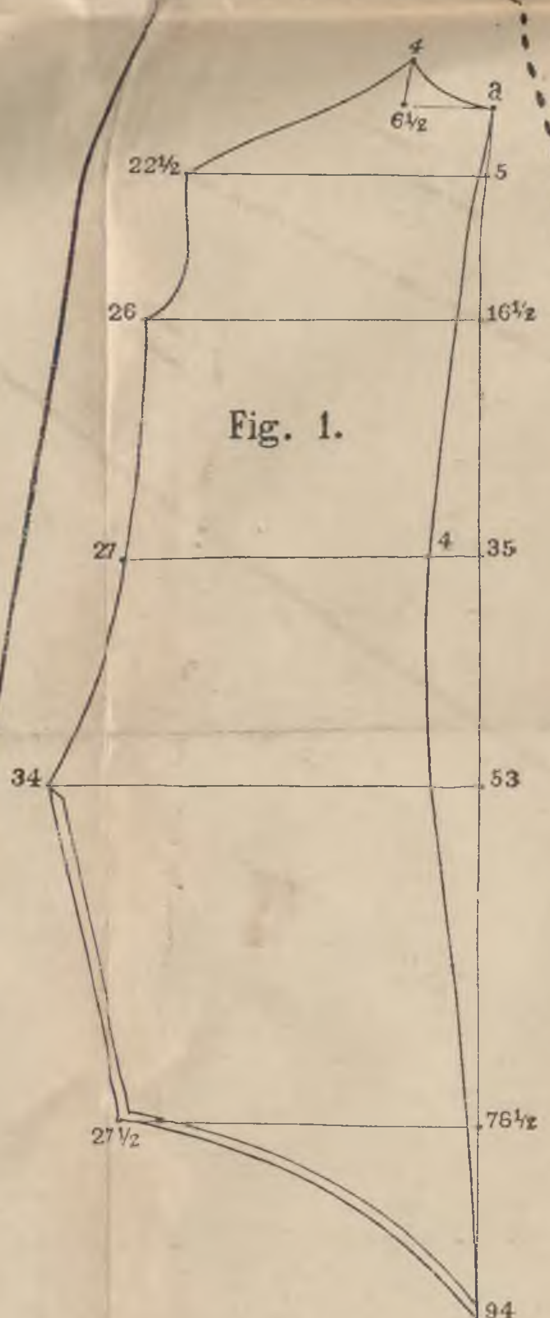


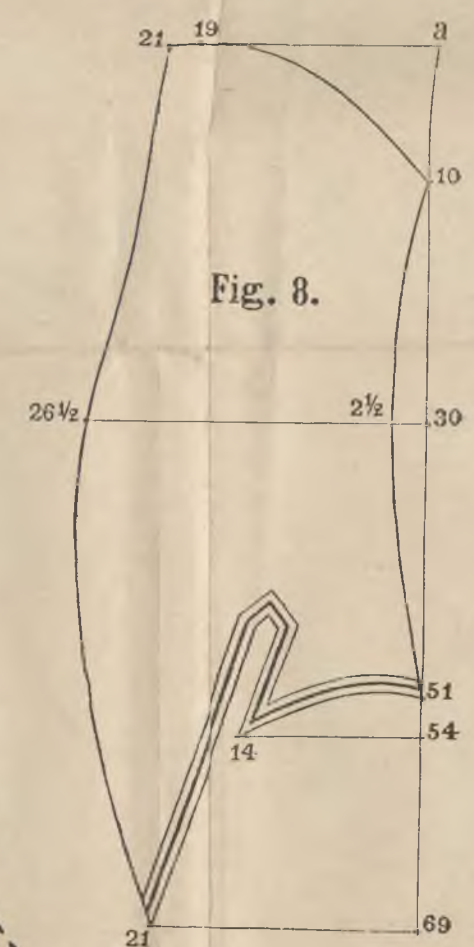












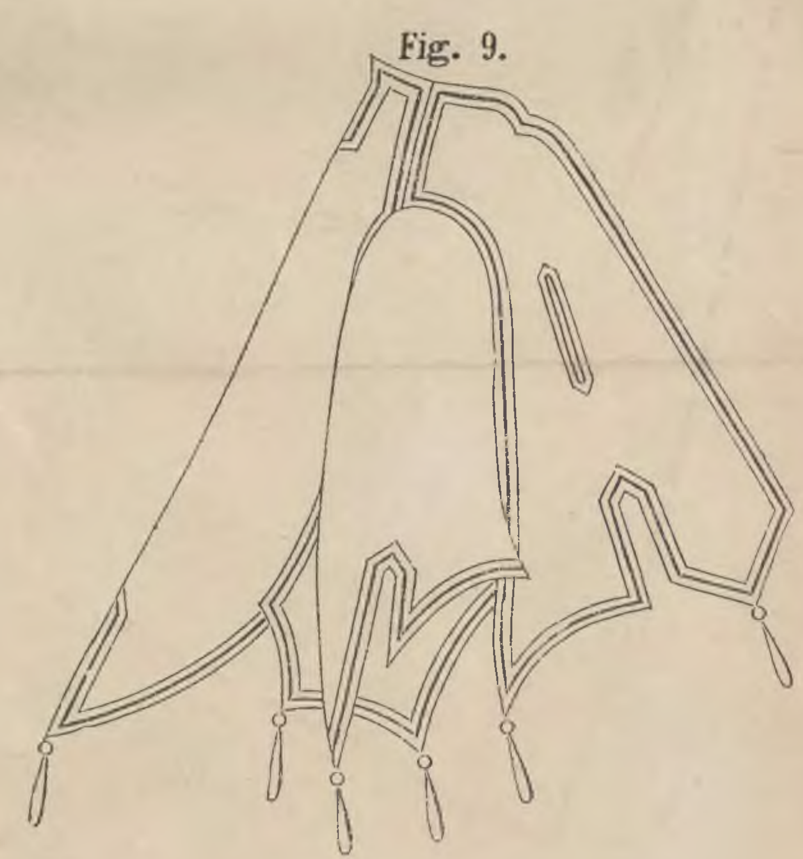




Fig. 13.



Planc[illegible] II.

Fig. 5.

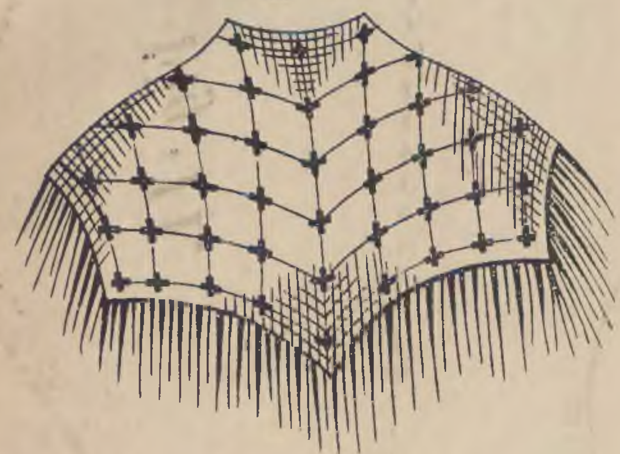


Fig. 4.

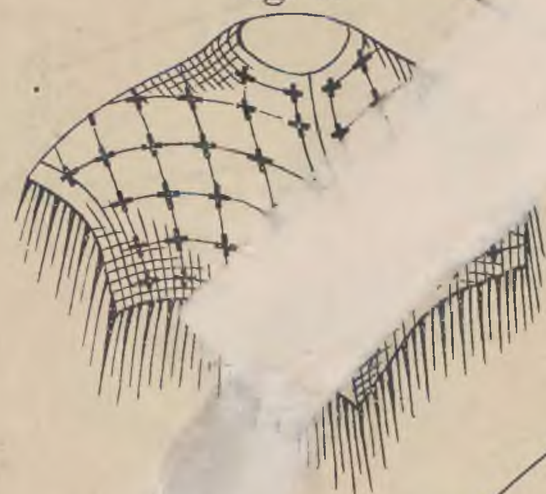


Fig. 3.

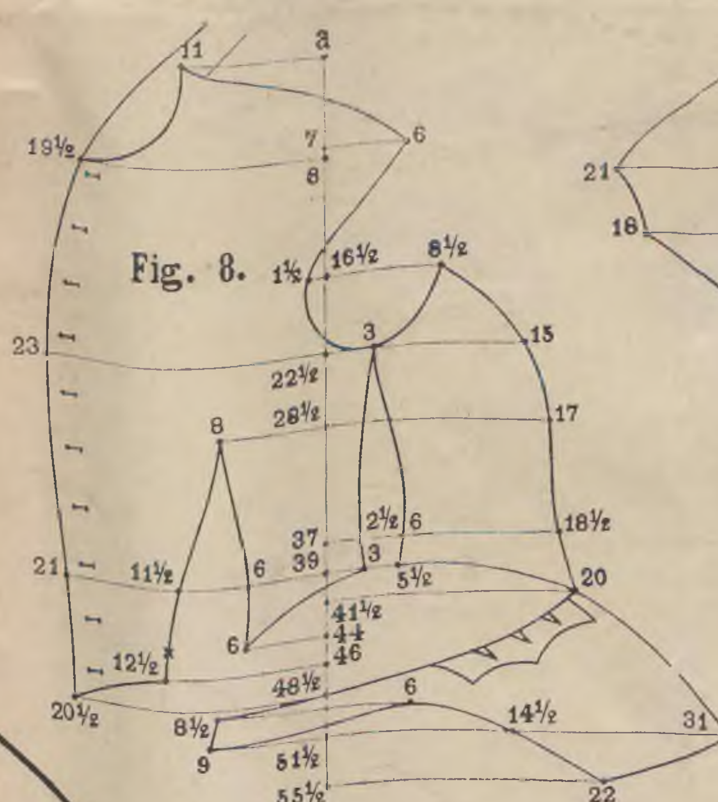


Fig. 8.

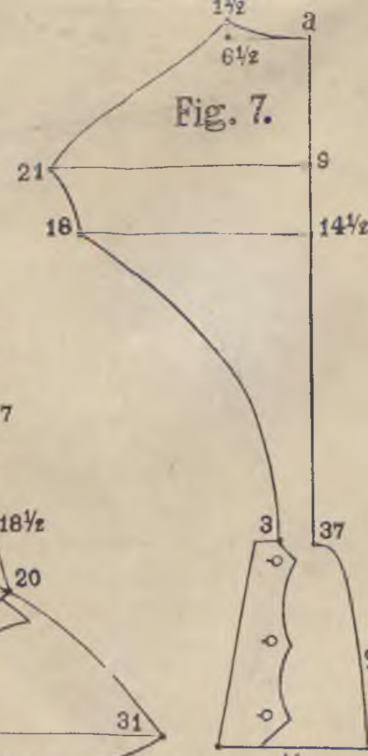


Fig. 7.

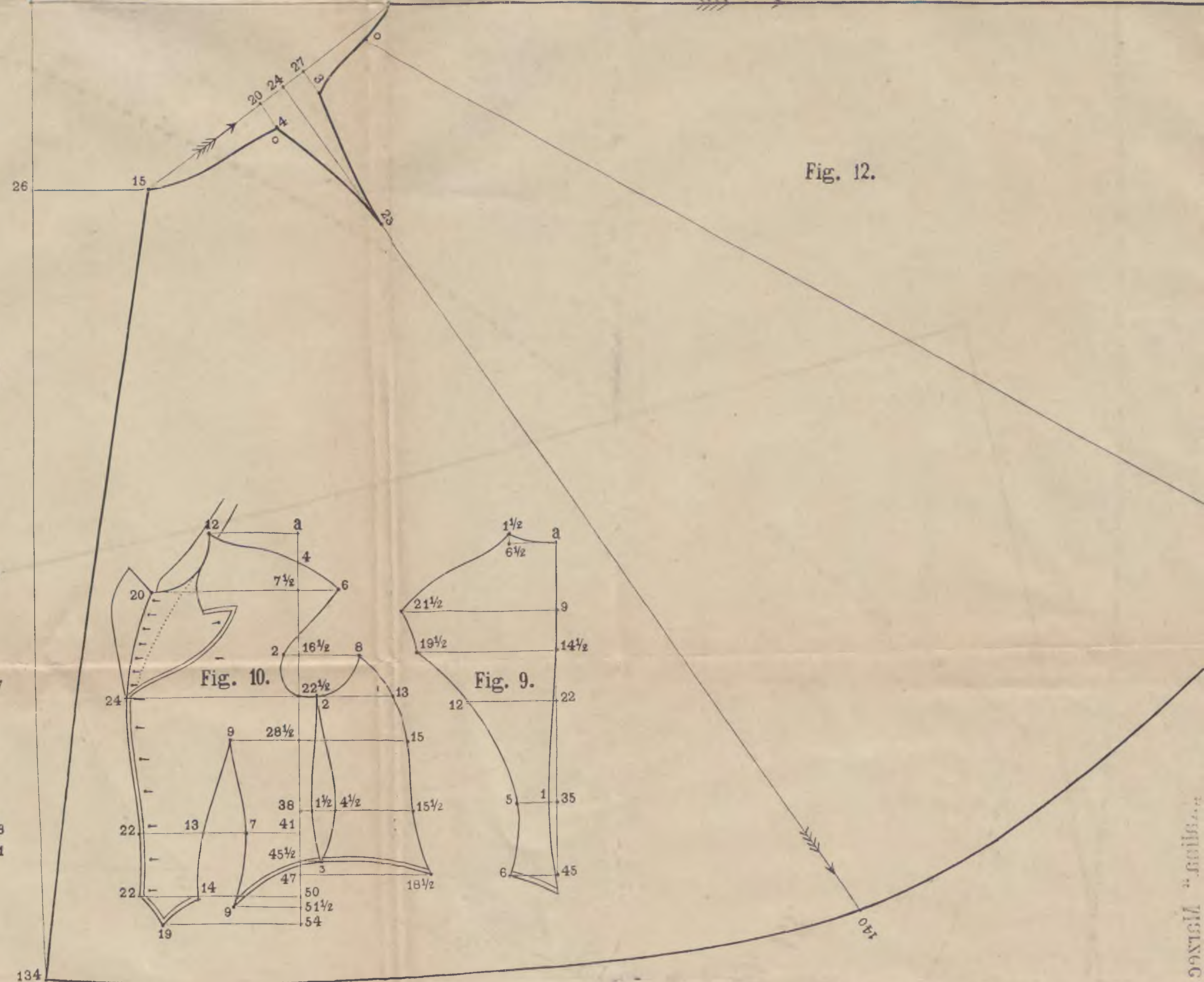


Fig. 12. Fig. 10. Fig. 9.

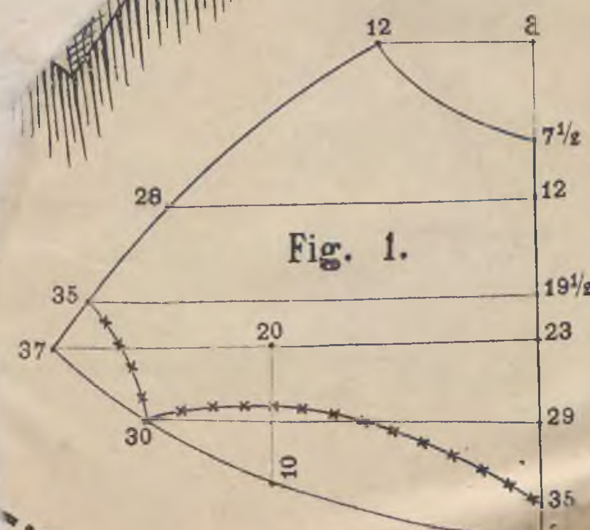


Fig. 1.

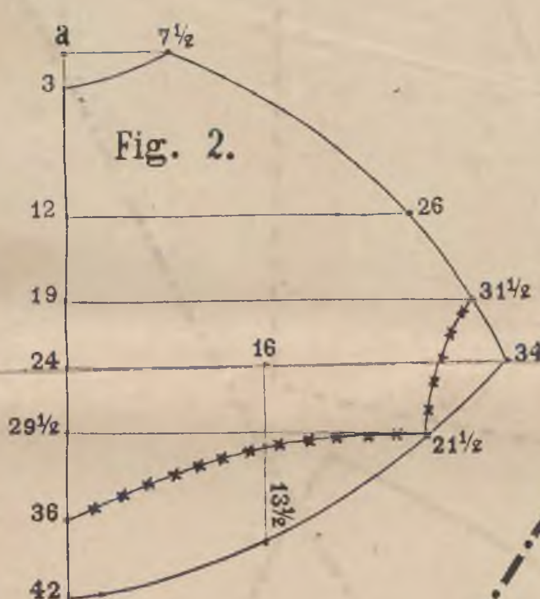


Fig. 2.

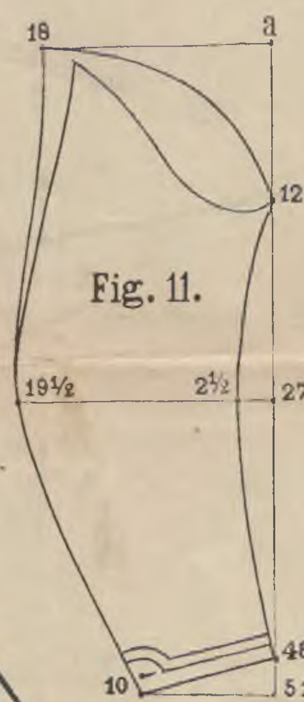


Fig. 11.

Fig. 6.



Fig. 13.



Fig. 14.



Fig. 15.



Fig. 16.



Fig. 18.



Fig. 19.



Fig. 17.



Fig. 25.



Fig. 23.



Fig. 27.



Fig. 21.

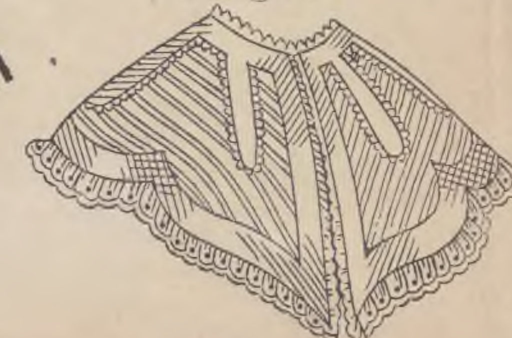


Fig. 20.



Fig. 22.



Fig. 26.



Fig. 24.



Fig. 28.

chu. Zrazu wachadłowe lub rzutne ruchy ramion, drżenie całego ciała, wykręcania pląsawiczne i drgania nóg, żrenice naprzemian rozszerzały się i zwężały, twarz przybierała wyraz przerażenia. Potém okrzyk, mruczenie, przeklinania. Spojrzenie stawało się wściekłe, oddech ciężki dyszący. Drgawki kończyn coraz szybsze i gwałtowniejsze — wreszcie poczęło się właściwe opętanie. Sprzęty, stołki, stoły i czego się tylko dorwały, miotały te dziewczęta na obecnych, rzucały się na krewnych lub obcych bijąc ich i siebie w żywot, kręciły w kółko, wyginały w tył i podskakiwały nagle jak sprężyny w górę. Napad taki trwał 10—25 minut, ku końcowi napadu ustawały okrzyki, ruchy wolniały, a z ust wytoczyło się nieco piany. Chore jakby zdziwione poglądały na około, uporządkowały sobie włosy, podnosiły swe spadłe czepki i wracały do rozpoczętych robót, twierdziły, że nie czuły najmniejszego zmęczenia i że nie pamiętały nic z tego, co się działo. Dr. Constans przekonał się, że te ich zeznania nie całkiem zgadzały się z prawdą; słyszały bowiem i widziały podczas napadu, odpowiadały na zapytania, mrugały powiekami gdy się do oczu ich z czemś nagle zamierzano. Zresztą obierały ostrożnie miejsca zanim się wywracały, omijały przedmioty o któreby się zranić mogły. Do leków w żaden sposób ich naklonić nie było można. Rząd francuzki użył 2ch środków: zmienił plebana i zawezwał brygadę żandarmeryi i oddział piechoty. Nastraszeniem wytępił chorobę do szczętu. Nie wchodźmy w to czy ten środek jest właściwy, ale w tym razie był nader skuteczny. Może sobie przypomniano postępowanie słynnego lekarza Bocshavego w Holandyi, który nie mógąc sobie dać rady w pewnéj gminie z kobietami popadającemi tłumnie w wielką chorobę, rozkazał na rynku naniecić wielki ogień i oświadczył stanowczo, iż każdą niewiastę, coby się ośmieliła objawić te drgawki, każe wrzucić w płomienie. Kobiety usłuchały i choroba zamilkła.

Jeżeli choroby, których obraz w treściwych skreśliłem zarysach bolesne wzniecają w nas wrażenia, to one jak wszystkie klęski i błędy zbogacając zasób naszego doświadczenia, obok spólczucia powinny wskazać przestrogę i naukę. Dalecy od zwątpienia, pracujmy owszem nad ominięciem téj przepaści i z niezachwianą otuchą zwróćmy spojrzenie to w lepszą przyszłość, a jeżeli codzienne spostrzeżenia uczą, że obłęd u ludzi pojedynczych w niepokojący sposób się wzmaga, to przyczyny tego zjawiska nie należy szukać bezwzględnie w owocach postępu, ale raczéj w niedogodnościch towarzyszących każdemu przejściu z jednych stosunków w drugie. Spodziewać się wolno, że gdy społeczne usamowolnienie jednostki, które przy braku należytego wykształcenia i wychowania łatwiéj do umysłowych zboczeń usposabia, zupełném będzie, powszechném usamowolnieniem wewnętrznem; gdy ludy w miejsce przymusu, na którym byli wodzeni, znajdą busolę postępowania w rozumném przekonaniu i sercu ukształconém, gdy ich umysł oświeci nauka, ich piersi zagrzeje szlachetna wola, ich zwyczaje i obyczaje uzacni poczucie piętna, zgoła, gdy prawdziwa zapanuje w spółeczności wolność, to da Bóg i te liczne wybryki dzisiejsze świeżo wyswobodzonego i dla tego jeszcze niesfornego ducha, choć nie ustaną całkiem, do szczuplejszych daleko ograniczą się rozmiarów. Dla dopięcia tego celu wspomagać muszą sztukę lekarską ustawodawstwo i nadewszystko wychowanie publiczne — bo człowiek staje się takim — jakim się go wychowuje, dla tego téż —konczymy słowy Jana z Czarnolesia:

Komu dowcipu równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludem dobre obyczaje;
Niechaj czyni porządek, roztérkom zabiega,
Praw ojczystych i *pięknéj swobody* przestrzega.

Z PRZYRODY.

Srébro.

Pierwiastkowa nazwa prawie wszystkich metali pochodzi albo od ich barw, albo téż od ich jakich wybitnych własności. A chociaż srebro w naturze ani swą barwą, ani połyskiem nie zwraca tak dalece uwagi, to przecież nazwa jego pierwotna zapewne od tego słabego połysku pochodzi. Khesef jak srebro w semickich językach nazywano, pochodzi od Khasaf, co oznacza bladość. Nawet i grecka nazwa srebra „argyros“ pochodzi od argos, biały.

Srébro należąc do maléj liczby metali, które w naturze znajduje się w skupieniu, było nieco późniéj od złota odkryte. Fenicjanie i Kartagińczykowie byli pierwsi, którzy zaopatrywali inne ludy w różne naczynia srebrne. Później Grecy i Rzymianie posiadali swe kopalnie srebra, mieli w kopalniach maszyny do ciągnięcia wody, które Archimedes wynalazl; lecz z upadkiem tych państw, po koczującém życiu, które odprawiały ludy, upadły te kopalnie. Ludy nieumiejące sobie radzić z napływem wody, pod którą najczęściéj dopiero znajdują się kruszce, potworzyły sobie różne dziwaczne historje z tego powodu. Opisy o różnych duchach podziemnych znaleść można w książce wydanéj w Paryżu w r. 1579. Takie duchy miały być przeszkodą wydobycia skarbów, bo one ich pilnowały, i nie dozwalały powrotu nikomu, co tylko zajrzał do tych głębin. Jedne z duchów miały postacie koni, u których zamiast łbów, błyszczały u[illegible]nic, a swém rżeniem i oddechem zabijały każdego, który się do nich zbliżył. Inne miały postać robotników, ale ubrane były w długie, czarne płaszcze, tacy porywali w swe ręce śmiałka, chcącego

skarbów, wynosili nad powierzchnię ziemi i potem z siłą rzucali w dół napowrót tak, iż się roztrzaskał; Kobołdy, jeżeli ich nie drażniono, nie były jednak złośliwe; co do wzrostu miały $2\frac{1}{4}$ stopy wysokości. W ogóle w dziele tém sześć rodzajów duchów takich znajduje się opisanych, z których najgorsze były duchy o długich czarnych sukniach, wszystkie jednak dobrocią i cierpliwością pokonać było można.

Podobne opisy dają nam wyobrażenie o duchu czasu. Milczenie i ciemność panująca w długich podziemiach, nie wywierały takiego wpływu na umysły Rzymian lub Greków, ażeby ich odstraszyć od chęci wzbogacenia się. Ale na umysły chrześcian średniowiecznych czasów, samotność oddziaływała silnie i co najmniéj przejmowała ich święta zgroza. Chciwość i podstęp razem z innemi ludzkiemi namiętnościami zamilkły; lecz chwilowo tylko ustąpiły panowania duchom i Koboldom, by późniéj z większą gwałtownością się obudzić.

Szlachetne metale często nie zbyt głęboko pod powierzchnią ziemi się znajdują, o różnych téż odkryciach podania aż do naszych doszły czasów. I tak: w Hiszpanii pierwszymi wynalazcami srebra byli owcarze, którzy w wypalonym lesie mieli napotkać stopiony i na wierzchu ziemi leżący metal srebra. Odkrycie sławnych kopalń srebra w Potosi w Peru 1545 r., zawdzięczamy również strzelcowi indyjskiemu. Wyrywając krzak z ziemi, znalazł korzenie jego uwikłane w gałązkach kruszcowych srebra.

Za czasów cesarza Ottona Wielkiego, pewien także strzelec nazwiskiem Ramm, znalazł w Rammelsberg pod Goslar w Harzu ten kruszec. Raz na polowaniu uwiązał swego konia do drzewa, by przejść pieszo daléj przez las, niecierpliwy koń grzebiąc nogą ziemię wykopał srebro.

Biedak zbierający suche drzewo, natrafił na kupy srebra w Kopieppo w Chili 1632 r. Po upływie dni czternastu znaleziono szesnaście żył srebrnych, a czterdzieści ośm w trzy tygodnie późniéj. Odkrycie kopalń w Szemnitz na Węgrzech, zawdzięcza się zabitym kuropatwom, w których żołądku najprzód znaleziono ten kruszec.

Z rozwojem cywilizacyi w 7mym wieku ustaliły się dopiero wszędzie kopalnie i poszukiwania. Kopalnie srébra w Gualpa w Mexyku odkryte 1787 r., gdzie wnętrze gór obfite posiadało żyły, należą do najznaczniejszych. W dzisiejszych czasach znamienitsze kopalnie srebra są we Frejbergu, Johanngeorgenstadt w Saxonii, Andreasberg, Johannisthal, Przibram w Czechach, Szemnitz na Węgrzech, Konsberg w Norwegii; prócz tych miejsc jest także w Syberyi, Mexyku i Peru, a ostatniemi czasy znaleziono w Kalifornii w okolicy Washoe bardzo znaczne miny srebra. Skupione srebro znajduje się w znacznych kawałkach. Największa bryła, jaką dotąd znaleziono, ma trzy stopy długości i waży parę centnarów. Ta znalezioną była w Konsberg w Norwegii, i jest w zbiorze mineralogicznym w Kopenhadze. We Freibergu 1857 r. w szybie Himmelfürst znaleziono także skupione srebro w różnych kształtach, najwięcéj w płytach; z tych jedna ważyła 60 funtów, inne od 3 do 12 funtów. W szybie tym w przeciągu sześciu tygodni na obszarze 45 stóp, znaleziono srebra 19 centnarów, w wartości 84 tysięcy r. w. Takie szczęśliwe odkrycie należy jednak do rzadkich wypadków, szczególniéj w kopalniach srebra, które są prawie grą w loterję. Akcje niektórych kopalń srebrnych kruszców, które niedawno wysoko stały, nagle spadają przez parę lat, potem znów nietylko wracają do swéj nominalnéj wartości, ale i wysoko się znów podnoszą.

Srebro jednak nie zawsze jest w stanie skupienia, a nawet i skupione nie jest jeszcze czyste, ale ma choćby trzy procent, to antimonu, miedzi, żelaza itp. lub téż znajduje się w granicie, porfirze, syenicie i innych. Kruszce srebra są bardzo liczne, nas jednak interesują tylko takie, w których srebro stanowi część główną. W kopalniach Andreasberg antymon-srebrny ma 77 procentu srebra. W Czechach, Węgrzech i Norwegii, srebro w pomięszaniu z siarką ma 87 procent srebra. W drugorzędnych kruszcach srebra, znajduje się ołów, miedź, cynk, żelazo, arsen, kobalt, itd. Ilość zawartego w nich srebra jest różną; w ogóle wszelkie kruszce siarki są bogatsze w srebro. Z tego już widzieć możemy, że srebro rozłożone jest w całéj naturze, i jest w połączeniu z przeróżnemi minerałami, z których jeżeli się go nie wydobywa, to dla małéj części, w jakiéj się w nich znajduje i ztąd wydobycie jego by się nie opłaciło.

Runge odkrył srebro nawet w pozostałościach przy laniu żelaza, ale w tak małéj ilości, że z 8 tysięcy funtów wydobył trzy funty srebra. W ołowiu i miedzi jest go daleko więcéj, i tak rachują, że w 550 funtach staréj miedzi, jest 1 funt srebra, który przy przerabianiu miedzi może być użyty do wyrobu witryolu.

Francuzcy chemicy Malaguti i Durocher odkryli w r. 1850, że w wodach Oceanu jest 100milionowa część srebra, a więc jeden gran w 13 tysiącach funtach, czyli w 197 stopach kubicznych wody. Używali oni do swych prób wody, branéj o parę mil od brzegów w Saint-Malo. A mimo, że przy całéj téj robocie unikali wszystkiego, coby mogło fałszywie wpłynąć na ich dowodzenie, przecież ta jedyna próba nie zdołała ich zadowolnić. Wiadomą jest rzeczą, że rośliny do swego wzrostu potrzebują pewnych części mineralnych; nie posiadają one jednak téj własności, ażeby z przybrania części im potrzebnych, wydzielać mogły to, co im jest zupełnie niepotrzebne. Korzenie przyciągają wszystko i podają roślinie za pożywienie, choćby to nawet z jéj szkodą było. Ztąd więc rośliny morskie

bardzo łatwo udowodnić mogą o bytności srebra w wodzie morskiéj. Nawet z 13 funtów popiołu roślin: *Fuccus serratus* i *Fuccus ceramoides*, otrzymano jeden gran srebra. Ma się rozumieć, że tak samo srebro udziela się soli morskiéj i innym przetworom, a nawet próby robione wykazały go i w kwasie solnym i w sodzie.

Że srebro jest w wodzie morskiéj, nie powinno to tak dalece i dziwić. Nietylko zatonęło wiele bardzo okrętów przewożących tak znaczne skarby z Ameryki do Hiszpanii, ale wieleż to rok rocznie w skutek różnych wypadków tak samo tonie. Wiadomo zaś jest, że metal srebra zostający czas dłuższy w rozczynie solnym (tém zaś jest woda morska), przemienia się zczasem na chloran srebra, który się rozpuszcza w rozczynie solnym, lub téż w wodzie morskiéj. Choćby zaś te tak znaczne zatopione skarby wydawały się niczém w porównaniu z obszarem wody morskiéj, to przecież dla chemika bardzo łatwą jest rzeczą wykazać to, co jest właściwie i co przez parowanie z łatwością otrzymać może. Srebro zaś nie jest lotném, a ztąd czy w ten, lub inny wskazany sposób, zawsze jest ono na dnie morskiém, a przez wyż wymienioną przemianę, łączy się z wodą morską.

Rozbiór chemiczny jest ową nauką, odkrywającą wszystkie składniki ciał w przyrodzie i ich własności jemu to zawdzięczamy te wielkie postępy, które chemja ciągle robi. Przy największéj liczbie różnych pierwiastków pomięszanych razem, czyli połączonych, każdy z nich posiada wyłączne własności, za pomocą których chemik z wszelką pewnością rozpoznać go może. A to dla tego, że wzajemny wpływ dwu lub więcéj ciał, wywołuje pewne zmysłom dostępne zjawiska i zmiany. Ciało to, którego używa chemik, ażeby pewne zmiany, które tylko obecność tego ciała wywołuje wyśledzić, lub dojść z wszelką pewnością w mięszaninie obecności innego ciała, nazywa się odczynnikiem, a sam skutek jego pracy, czyli zjawisko już wynikłych przemian, które dają jakoby odpowiedź na zapytanie chemika, nazywa się odczynem. Dla świadomego rzeczy odpowiedź ta natychmiast następuje w najkrótszym czasie i z wszelką dokładnością. Już z tego względu, że za pomocą takich poszukiwań każde ciało poznajemy nietylko jako nowy płód w przyrodzie, ale zarazem poznajemy ciała tego naturę, jego wpływ na inne ciała w organizmie świata, uderzyć nas powinna ważność chemii, szczególniéj rozbiorowéj; nauki, któréj owoce pożywamy w całém życiu naszém. Wiele z prac chemików, które dotąd tylko ku celom naukowym służyły, wyszły z ich pracowni na drogę praktycznego zastósowania. Niektóre z nich są podstawą całego świata handlowego, wszystkich fabrycznych wyrobów. Podług to takich doświadczeń chemików, śmiało możemy powiedzieć, że prawie wszędzie jest jakiś pyłek srébra, ale zamały, by się po niego schylać. To zaś co dowodzą o roślinach morskich, stosuje się i do roślin ziemskich, i z popiołów tychże stosunkowo podobnie otrzymać srébro możemy. Każda słodka woda zawiéra w sobie pewną ilość wody kuchennéj, zanim ją zaś na wierzch dostaniem, nikt wątpić o tém nie może, że jest w styczności z różnemi minerałami, a ztąd podobnież jak i woda morska zawiera w sobie srebro. Jeżeli zaś kto chce twierdzić, że ilość soli w wodzie słodkiéj jest zbyt małą, to niechaj pomni, że woda o ile traci na sile, o tyle czas to wynagradza.

Jeżeli więc w roślinach i wodzie słodkiéj jest srebro, to tém samém musi ono być tak w ludziach jak zwierzętach. I tak téż jest w istocie, a nawet chemicy istność jego w krwi u wołu udowodnili. Wszędzie więc, gdziekolwiek okiem się rzuci, stąpi nogą, jest srebro i to nie od dziś, ale od początku świata. Nowszemi nawet czasy bytność jego udowodniono w popiele węgli kamiennych.

O tém wszystkiém już prawie zapominano, kiedy nagle w roku 1857 w Londynie na posiedzeniu *Royal-society*, chemik Faraday wznawia tę rzecz i utrzymuje, że morza zawierają w sobie 40 miljonów cetnarów srebra, a gazety ogłosiły tę tak pocieszającą nowinę.

Ziarnko do ziarnka, to będzie miarka. Gdyby zgromadzić te wszystkie pyłki srébra z całéj kuli ziemskiéj, to złożyłby się z tego ogromny skarb, ale czyż wszystkie szlachetne metale i złożone z nich skarby, są w stanie położyć tamę biedzie i cierpieniom ludzkości? Wróćmy jednak do obrachunku pana Faraday, obliczony przez niego skarb jest większy, aniżeli wszystkie wydobyte skarby od narodzenia Chrystusa, gdzież jednak podstawa podobnego dowodzenia, o którém z taką uciechą rozgłosiły gazety niemieckie? Trzeba mieć wielką śmiałość, by obrachować obszar wody morskiéj na stopy kubiczne, istną to tylko może być zabawką. Oprócz tego dodajmy rośliny morskie i zwierzęta, bo potrzeba przecież do takiego obliczenia wiedzieć ich liczbę i wagę, bo one wszystkie zawierają w sobie srebro.

Te tak niezliczone skarby w morzu mimo że nie są pilnowane przez żadne władze piekielne, ale nawet rozpostarte przed okiem każdego, dotąd nie były łatwe do wydobycia. Aby bowiem jeden funt srebra otrzymać, potrzebaby wyparować $1\frac{1}{2}$ miliona stóp kubicznych wody, co znaczne bardzo pociąga za sobą koszta, które się żadną miarą nie wrócą. Dziś już jest jednak środek za pomocą którego w małéj części wydobywają te skarby. Chemicy wykazali, że chloran srebra rozpuszczony w rozczynie solnym, metal miedzi rozkłada. To jest na miedzi włożonéj w taki rozczyn solny, srebro jako metal osiada. Późniéjsze próby okazały, że w blasze miedzianéj jaką się spód okrętu obija, przy naprawie okrętu, który siedm lat był na morzu,

każdy funt tejże zawierał trzy grany srebra. Teraz obijanie okrętów blachą miedzianą używane jest jako środek zyskiwania srebra z morza.

Z kruszców srebrnych lub innych minerałów zawierających srebro, wydobywa się go wtenczas, jeżeli miejscowe okoliczności okażą, iż się robota opłaci. Otrzymywanie srebra uskuteczniają za pomocą ołowiu, albo rtęci (żywe srebro) lub też roztapiają cały kruszec i potém dopiero z niego wydzielają srebro. W przecięciu rachują rocznie, że otrzymuje się wszystkiego srebra w wartości 97½ miliona r. w. a.

Oczyszczone od innych metali srebro jest białawego koloru, a przez polerowanie otrzymuje piękny połysk. Należy ono do najmiększych metali; zupełnie czyste posiada wielką rozciągłość, ale zawsze mniejszą od złota, od którego jest nawet twardsze. Jeżeli srebro dobrze jest wypolerowane, łamie światło, utrzymuje ciepło więcéj jak każdy inny metal; ztąd też wydzielanie się z niego ciepła jest bardzo wolne, w srebrném naczyniu zamknięty ciepły płyn, bardzo długo zatrzymuje ciepło.

Piękny połysk, który wypolerowane posiada srebro, niezmienność jego na powietrzu, była przyczyną: że dawni alchemicy w tak wielkiém poszanowaniu mieli ten metal, nadawali mu nazwę planet Luna, Diana, uważali go za przejście w przemianie innych metali na złoto. Podobnym fantazjom wierzyli jeszcze nawet Bacon, Luther, Spinosa, Leibnitz; postępy dzisiejszéj chemii położyły temu koniec. W średniowiecznych czasach, srebro odegrało również ważną rolę. Ludzi których podejrzywano że mają związki z duchami, uważano, że ani ołowiem, ani żelazem, ani stalą skaleczyć lub zabić nie można. Opieka jednak takich tajemniczych duchów stawała się próżną, jeżeli użyto poświęcanego srebra. Napotykamy nawet w kronikach w opisie trzydziestoletniéj wojny, że gubernatora cesarskiego z Greifswald Szwedzi nie mogli zwykłemi kulami zabić, dopiero zabił go żołnierz jeden, mający w swéj kieszeni srebrny guzik, tak samo piszą, że w Szlezwiku czarownicę przemienioną w wilkołaka dopiero srebrną kulą zabić zdołano.

Ażeby się srebro nie tak łatwo zużywało, przymięszuje się do niego inne metale zwykle miedź; przez takie nawet dodanie miedzi, nie traci ono tak dalece na swym kolorze, staje się tylko twardsze i ma przyjemniejszy dźwięk. W wyrobach jednak delikatniejszych ażeby tymże nadać więcéj białości, pociągają po wierzchu warstwą czystego srebra. — Stosunek obu tych metali do siebie dzielą na łuty, 12-łutowe srebro zawiera w marce 12 łutów czystego srebra a 4 łuty miedzi. We Francyi ten podział jest na tysiączne części. Czyste srebro oznaczają $^{1000}/_{1000}$, srebro z oznaką $^{900}/_{1000}$ ma 900 części srebra a 100 miedzi itd. W każdym kraju na oznaczenie téj mięszaniny są osobne prawa.

— Posrebrzanie rzeczy z innych metali, robią czterema sposobami: przez pociąganie, za pomocą ognia, na zimny sposób i za pomocą prądu galwanicznego. Posrebrzanie przez prąd galwaniczny bardzo wielki zrobiło postęp w Ruhla, sławném z swych fabryk, gdzie jednym talarem posrebrzają 600 okuć i pokrywek do fajek. Przy posrebrzaniu wszelkich materyj nie używają dziś srebra ale cyny. Nowszemi czasy tak na rzeczach srebnych lub posrebrzanych robią różne wyroby ciemne, lub całemu wyrobowi taki kolor nadają. Podobne roboty uskutecznia się za pomocą siarki albo chloru; pierwsza nadaje czarno-niebieski kolor, drugi brunatny.

Zjazd nauczycieli.

Do rozwoju najżywotniejszéj u nas sprawy: oświaty, wychowania publicznego potrzeba wielu warunków jako to: sprawiedliwego ustawodawstwa, dobrego systemu edukacyjnego, współudziału całego kraju, a co najważniejszą dobrych, to jest światłych, poświęconych i niezależnych nauczycieli. Naprawa warunków pierwszych rozpoczęła się przez ustanowienie rady szkolnéj krajowéj, przez powracanie szkół pod nadzór gmin, przez wyzwolenie szkół z pod wyłącznego, jednostronnego kierunku duchowieństwa. Warunkowi ostatniemu mają zaradzić w przyszłości seminarja nauczycielskie. — Tymczasem jednak potrzeba było, ażeby dzisiejsi nauczyciele w obec nowéj ery dla szkół, dali znak życia, pokazali krajowi czém są, i sami poczuli się nawzajem w godności i obowiązkach swoich. I właśnie uczyniono pierwszy krok na téj drodze. We Lwowie odbyło się pierwsze u nas zgromadzenie nauczycieli i ludzi zajmujących się sprawami wychowania z wszystkich stron Galicyi. I liczba uczestników i cały tok obrad są wielce pocieszającym objawem — szczególniéj, że i nauczyciele szkół ludowych, którzy najwięcéj dotąd trzymani byli w ryzach systemu represyi i vorschriftów, mieli odwagę wziąść udział w zgromadzeniu wolném i śmiało zdanie swoje objawiać. Odbyły się rozprawy i zapadły uchwały w przedmiotach tyczących się tak materjalnéj jak i pedagogicznéj strony zawodu nauczycielskiego — i takowe do Rady szkolnéj odsełane będą.

Wymiana zdań, torowanie dróg w umysłach i przekonaniach ludzi, wzajemne poznanie, wzajemna zachęta do odwagi i wytrwałości, ożywienie uczucia własnéj godności i samodzielności, które muszą wyniknąć z téj pewności, że większość kolegów w kraju, tak samo myśli i działa — oto korzyści z takich walnych zgromadzeń. — Nadto, tylko tym sposobem może się stać, że władze i ustawodawstwo pójdą w myśl postępu i reform, których opinja i potrzeby kraju wymagają, i któ-

re raz uznane zostały jako zbawienne przez ludzi poświęcających życie całe dla szkoły.

Uchwalono zorganizowanie koporacyjne wszystkich nauczycieli przez stowarzyszenie nauczycielskie wzajemnéj materjalnéj i moralnéj pomocy, uchwalono założenie stowarzyszenia naukowéj pomocy dla kształcącéj się młodzieży, na wzór istniejącego w Poznańskiém — z wyraźnym atoli dodatkiem, że ma ono obejmować i dziewczęta.

Objawiono przekonanie o potrzebie gruntownéj reformy wychowania dziewcząt — objawiono wyraźną uchwałą przekonanie o równych prawach kobiet, otwierając im wolny przystęp i współudział w powyższych stowarzyszeniach. Zatwierdzono więc i tutaj zasady tylekroć przez nas bronione i których zwycięztwo ogłosiliśmy właśnie w poprzednim numerze Kaliny w artykule o stowarzyszeniach.

„Szczęść Boże“ oto jednogłośna odpowiedź całego kraju na te postępowe usiłowania. Dużo jest do zrobienia, ale początek już dany. — My z naszéj strony pomożemy, ile nas stać, a szczegółowo przygotujemy prace ku polepszeniu i zabezpieczeniu losu nauczycielek prywatnych, guwernantek itd. o czém dotąd nie pomyślano jeszcze. *S.*

W albumie panny L. F. z Sanoka.

Daremnie mą głowę, stolicę rozumu,
Pompuję, śrubuję i wiercę,
Dwóch wierszy niezdolna skleić do albumu,
Lecz wzdycha i spycha na... serce.

Zaś serce, ten wisus, klnie duszę i ciało:
Ja czytać i pisać nie umię:
A zresztą na wszytko? na wszystko zbyt mało
Mam miejsca w panieńskiem albumie.

A kartka figlarka, złośliwie, z pod oka
Ze śmiechu się ledwie nie pomnie
Szeleszcząc: „czym na to zleciała z Sanoka
Byś kwękał i stękał koło mnie?“

Co począć? radź Pani! — za radę w zamianie
Bierz serce i resztki rozumu,
Zrób tylko, bym wpisać się kiedyś był w stanie,
Do Twego.... serduszka — albumu!

Gewont.

TEATR. Nie wiele mamy do zanotowania o przedstawieniach teatralnych z ostatnich dwóch tygodni; bale, reduty, zabawy tańcujące porwały w szalone wiry uwagę publiczności, głowy abdykowały na rzecz nóg, a królowe balu i vortänzerowie stanęli dziś na pierwszym planie. Nie wątpimy, że i wśród skocznych tonów muzyki zawięzuje się nie jeden dramat, odgrywa się nie jedna komedja, ale recenzje tego rodzaju przedstawień nie wchodzą już w nasz zakres.

Dyrekcja teatru uwzględniając „ducha czasu“ nie siliła się walczyć z karnawałowym prądem, rzucając mu jako przeszkody nowe sztuki i poważne arcydzieła; ale ograniczyła się na lekkich i znanych komedyjkach, częstując jak Chochlik tabaką ziewających i drzemiących. Jednę tylko nowość zanotować tutaj musimy, tj. komedyjkę p. Koziobrodzkiego, p. t. „Zawierucha“. Układem podobna jest do drobnych okolicznościowych komedjek francuzkich, którym dorównywa lekkością i żywością dyjalogu. Węzeł stanowi małe nieporozumienie: oto przyjaciel przyjacielowi wziął ukradkiem wiersz z teki i oddał go jako swój pani swéj uczuć Laurze. Ztąd wynikło, że obie panie znalazły się w posiadaniu jednego i tego samego wiersza. Ztąd oburzenie Emmy i wzgardzenie kochankiem, który nie wiedząc o niczem rozpacza nad jéj zmiennością. Rzecz cała wyjaśnia się potém, następuje przebaczenie i koniec. Rolę jednego z przyjaciół trzpiotliwego, wesołego oddał pan Wolański z lekkością i swobodą, i przyczynił się wielce grą swoją do ożywienia sztuki.

Mniéj szczęśliwym był występ p. Zglińskiego „w arcydziele nieznaném“ Lafonta. — Już to widocznie ta sztuka przeznaczoną jest na to, aby nieznane talenta łamały sobie na niéj nogi: (jeżeli się nie mylimy, to w zaprzeszłym roku jeden z artystów rozpoczął od téj sztuki swoją drogę artystyczną, po któréj miał dojść do triumfu Davisona). Nie dziwimy się panu Zglińskiemu, że się zerwał na rolę tak trudną, bo każdemu wolno mierzyć swój talent miarą miłości własnéj, ale dziwimy się dyrekcyi, że podobne próby talentów nie przed sobą wyłącznie, ale przed całą publicznością odbywać pozwala. Może być, że p. Zgliński ma wielkie zasoby dramatyczne, ale dotąd nie ma najpierwszych nawet warunków dobréj gry, tj. jakie takie ruszanie się na scenie i utrzymanie rąk w położeniu, któreby nie zdradzało niepewności. Zdawało się, że spojrzenia widzów niewidzialnemi więzami pokrępowały mu ręce i nogi. Jestto nieuniknioném przy pierwszych występach, dla tego występy te powinny się ograniczać na skromnych rolach, któreby artystę obznajmiały ze sceną i z publicznością. Podobne poczęcie *ab ovo* nie uchybi wcale talentowi pana Zglińskiego (jeżeli go ma), boć i Rafael dobrze pierwéj namęczył się nad nosami i ustami, zanim Madonny malować począł. *M.*

(Nadesłane.)

Od Wydawnictwa „Albumu Żółkiewskiego".

Z końcem r. z. ogłoszone zostało zaproszenie do prenumeraty na „Album Żółkiewskie", mające wyjść na pamiątkę obchodu uroczystości poświęcenia wyrestaurowanych pomników fary żółkiewskiéj, które oprócz swéj historyczno-archeologicznéj wartości, miało być i będzie na zawsze dla każdego Polaka pamiątką dnia 12go września 1867 r., w którym to dniu tak wymownie mieszkańcy Galicyi, jedną z największych narodowych rocznic uczcili. Znaczną część dochodu z rozprzedaży tego albumu przeznaczył właściciel podpisanego zakładu, na restauracyę pomników, znajdujących się w katakombach kościoła OO. Dominikanów we Lwowie, by poruszona przez p. Stanislawa Kunasiewicza, i tak szczęśliwie podjęta myśl restauracyi tychże urzeczywistnioną została. Pomimo najusilniejszych starań, album to nie mogło wyjść na widok publiczny prędzéj, jak dopiero w miesiącu bieżącym, ponieważ zakład p. K. we Wiedniu druku kartonów i litografij winietki ułożonéj i rysowanéj przez artystę-malarza p. Franciszka Tepę nie mógł prędzéj wykończyć, z téj też przyczyny dopiero teraz rozpoczęto rozsyłanie już zamówionych egzemplarzy, właściciel więc podpisanego zakładu uprasza niniejszem wszystkich Opiekunów rzeczonego wydawnictwa, wszystkie redakcje i księgarnie, by zechcieli zawiadomić zakład o ilości rozsprzedanych kart prenumeracyjnych, a zarazem nadesłali adresy, pod jakiemi albumy wysłane być mają.

Właściciel podpisanego zakładu, nie ograniczył się jednakże na zdjęciu tylko tych fotografij, z których się składa „Album Żółkiewskie", lecz oprócz tych zdjął jeszcze fotografiję: pomnika żony i córki Stanisława Żółkiewskiego, 2) pomnika Stanisława Daniłowicza, 3) kaplicy po lewéj stronie nawy kościoła z obrazem Matki Boskiéj, pędzla sławnego Karola Dolce, 4) wnętrza całego kościoła, 5) głównego ołtarza, 6) wnętrza 56ciu łokci wysokiéj kopuły — a czyniąc zadosyć żądaniom znawców i naleganiom miłośników zabytków, skłonił się do wydawania „Suplementu" do albumu żółkiewskiego, składającego się z powyższych sześciu fotografij. Cena suplementu większego $^{13}/_{18}$" 12 złr. w. a., mniejszego $^{9}/_{13}$" 7 złr. w. a. Kupujący obydwa albumy, tj. album z suplementem otrzyma bezpłatnie jako premię dużą fotografiję, zdjętą z rzeźby, dotychczas jeszcze zupełnie nieznanéj, a przedstawiającéj króla Jana III. tratującego Turków. Przychylając się do prośby p. Stanisława Kunasiewicza, starającego się usilnie o zebranie funduszów, potrzebnych na restauracyę pomników dominikańskich, przeznacza zakład z rozprzedaży suplementu tę samą znaczną część dochodu, co i z rozprzedaży albumu na rzecz restauracyi. Jeżeli nie ma już dziś rodzin, którychby dominikańskie nagrobki wprost obchodziły, jeżeli są, ale nie tak zamożne, aby restauracyę podjąć mogły, nie pozostaje nic, jak ofiara prywatnych osób, i z téj też przyczyny, jak niemniéj z przyczyn powyżéj wymienionych, zakład żywi niepłonną nadzieję, iż album to, ta wiązanka fotografij, obznajamiających nas z drogiemi każdemu Polakowi pamiątkami w Żółkwi, znajdzie miejsce na stolikach w każdym domie polskim.

Teodor Szajnok,

właściciel zakładu fotograficznego we Lwowie i wydawca albumów: A. Grotgiera: „Wieczory zimowe"; — Fr. Tepy: „Sybir" i „Żółkiewskiego".

Do powyższéj odezwy możemy tylko dodać, że widoki te są wykonane z artystyczną wytwornością — że albumy podobne powinny wyrugować mnóstwo owych zagranicznych bohomazów, które u nas po ścianach mieszkań i po publicznych miejscach zwykle są porozwieszane. ══ Album żółkiewskie może każdy w biurze naszém oglądać, jakoteż za pośrednictwem naszém zapisać. (Przyp. Red.)

Dzieło p. t. „Pamiątka dla rodzin polskich" — krótkie wiadomości biograficzne o straconych na rusztowaniach, rozstrzelanych, poległych na placu boju, oraz zmarłych w więzieniach, na tułactwie i na wygnaniu syberyjskiém od roku 1861—1868 ze źródeł akt urzędowych, dzienników polskich, podań ustnych osób wiarogodnych i towarzyszów broni, zebrał i ułożył Zugmunt Kolumna z wstępem napisanym przez B. Bolesławitę — wyszło już z druku i wraz z dwoma tablicami 30tu fotografij jako premium rozesłaném zostanie niebawem Sz. Prenumeratorom.

Nieprzewidziany napływ z różnych stron ziemi naszéj materjałów do tego dzieła, spowodowawszy najprzód w jego wydaniu niejakie opóźnienie, zniewolił nas nadto do ułożenia osobnego dodatku tak do części I. jak i II.

Z tego też samego powodu rozmiar dzieła naszego znacznie się powiększył. Już same zapowiedziane jego części z 30tu arkuszy składać się mające, obejmują 3½ arkuszy druku więcéj aniżeli było ogłoszeném w prospekcie.

Dodatek zaś w osobnym złożony zeszycie i mieszczący w sobie po większéj części obszerniejsze życiorysy ludzi wybitniejsze zajmujących stanowiska w ostatnich wypadkach — składa się z 7min arkuszy druku, powiększając o 10 arkuszy całe dzieło, które razem składa się przeszło z 40tu arkuszy.

Przy znacznych kosztach poniesionych przy wydaniu tego dzieła, a niesłychanie nizkiéj cenie prenumeracyjnéj, nie wątpimy, że Szanowni PP. Prenumeratorowie okoliczność tego koniecznego a nieprzewidzianego powiększenia uwzględnić zechcą, i dla tego oznaczając na dodatek opłatę w ilości 80 centów — w Prusach 15 sgr., upraszamy o przesłanie téj kwoty w miejsce i do osób, u których dzieło zaprenumerowane było, i to jak najspieszniéj, aby uniknąć zwłoki w odbiorze gotowego już dzieła, którego cena od daty niniejszego ogłoszenia podniesioną zostaje na złr. 5 c. 50 wraz z 30tu fotografiami na 2ch tablicach, które osobno jak i dodatek do dzieła sprzedawanemi nie będą.

Wszelka reprodukcja fotografij zastrzega się i prawnie dochodzoną będzie — dlatego też każda tablica opatrzoną została odbiciem stępla artysty W. Eliasza po lewéj stronie rysunku — na drugiéj zaś stronie stęplem zakładu fotograficznego A. Szubert w Krakowie.

Administracje „Czasu" i „Kaliny" w Krakowie — „Gazety Narodowéj" i „Dziennika Literackiego" we Lwowie podjęły się dostarczania tego dzieła swoim prenumeratorom, oraz wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne po cenie 5 złr. 50 centów w. a., w Prusach 3 talary 20 sgr., we Francyi 11 franków.

Skład główny w księgarni D. E. Friedleina w Krakowie — M. Leitgebera, J. K. Żupańskiego w Poznaniu — K. Wilda, J. Milikowskiego we Lwowie — w księgarni Luxemburg w Paryżu — i u Pawła Rode w Lipsku.

Wystawa sztuk pięknych we Lwowie jest już otwartą. Obrazów wszystkich jest około 80, a udział wzięło w wystawie 28miu malarzy: Rzeziński, Cynk, Dodacki Edward, Eliasz, Gerson, Godlewski, Grabiński, Grabowski, Gryglewski, Hruzik, Jaroszyński, Kossak, Kotzis, Kraszewski, Macewicz, Marszewski, Maszkowski, Mirecki, Młodnicki, Penther, pani Rajska, Rodakowski, Sagnowski Schouppe, Stanek, Streit, Strzegocki, Swierzyński. — Szczegółowy opis wystawy podamy późniéj.

Na fundusz Szajnochy zebrało się dotąd przeszło 4.000 złr. gotówką i 1,850 złr. w papierach publicznych. Najznaczniejsze dary są: ks. Leon Sapicha, prof. Ant. Małecki, Kasyno miejskie lwowskie po **500 złr.** w. a.

MODY.

Z końcem karnawału, który nas swoim blaskiem i przepychem olśniewał, przechodzimy do mód wiosennych, nie ustępujących tamtym w swéj elegancyi.

Suknie do wyjścia najmodniejsze we dwóch kolorach np. suknia z perłowego i zielonego atłasu o dwóch spodnicach, z których jedna długa, druga krótka na boku zgrabnie związana.

Suknia z brązowego atłasu dołem szeroką falbaną obszyta z paletocikiem wciętym do stanu, którego poły są rozprówane i falbanką obszyte.

Suknia z rysu w kolorze rubinowym takimże atłasem i białemi kryształowemi paciorkami ubrana.

Gabriela (suknia w kliny) z czarnego aksamitu z przodu otwarta podszyta białym atłasem.

Także z balowych okryć pozostaną niektóre na wiosnę, jak np. okrycia z pluszu turkusowego i bursztynowego, ogarnirowane złotem.

Widzieliśmy bardzo ładne ubranie z sukienka ciemno-zielonego, okolista peleryna obłożona barankiem, spodnica podpinana w festony guzikami czarnemi lawowemi.

Daléj suknia czarna rypsowa, obłożona cienko tumakami dołem na wierzchu, krótka spodnica wycinana, cienko obłożona tumakami, paletocik aksamitny krótki, obłożony takiemże futerkiem jak suknia. Kapelusz czarny aksamitny i zarękawek tumakowy uzupełniają strój.

Jeszcze inna suknia fioletowa aksamitna mocno powłóczysta, obszyta trzema rulonami atłasowemi, naśladując podwójną suknią, szarfa atłasowa związana z boku.

Suknia czarna rypsowa zapinana do dołu na guziki, ubrana krepiną bardzo ładnie i skromnie wygląda.

Z sukien wizytowych strojnych najużywańsze są atlasowe koloru brązowego, szal kaszmirowy z białym krajem. Kapelusz brązowy z białém piórem.

Suknia czarna aksamitna ubrana futerkiem Grety. Paletocik bez rękawów takiémże futerkiem obłożony. Kapelusz różowy atłasowy ze złotą przepaską.

Suknia gładka jedwabna popielata, paletocik popielaty aksamitny i kapelusz niebieski z popielatém piórem tworzą piękny strój wizytowy.

Czarna atłasowa suknia ubierana sieczką, mały szal indyjski i kapelusz czarny koronkowy z kwiatami z sieczki, polecamy osobom starszym.

Strój dla młodéj panienki. Suknia niebieska jedwabna, ubrana rulonikami atłasowemi. Mantylka czarna aksamitua i kapelusz niebieski ze złotą przepaską.

Jeszcze jedno ubranie dla damy wiekowéj. Suknia czarna aksamitna, duże okoliste okrycie aksamitne, podbite bielistkami a obłożone chinchilami; czarny kapelusz aksamitny z koronkami z upięciem z bratków fiołkowych.

Szale indyjskie są bardzo poszukiwane i jak się zdaje, pierwsze miejsce w modzie zajmować będą.

Suknie w kolorze kwitnącej wanilii pozostaną do ubrania codziennego; w miejsce sukienka można użyć angielski tartan lub plusz angielski — na ubrania spacerowe są najstósowniejsze.

Jako ubranie do użytku domowego suknia klinowa niebieska, pluszowa ubierana wzdłuż rulonami atłasowemi tegoż koloru, mantylka z końcami z tegoż samego pluszu co i suknia.

Przejdźmy teraz do opisu strojów dziecinnych, w chęci zadośćuczynienia wszystkim mateczkom.

Kostium ośmioletniéj dziewczynki. Sukienka z niebieskiéj popliny w kwadrat wycięta, z krótkiemi rękawkami, pod nią biała koszulka; niebieski paletocik i toczek uzupełniają strój.

Sukienka dla dziewczynki czternastoletniéj z popielatéj popliny wycięta w zęby, do tego chusteczka Marie Antoinette, obszyta jedwabną frendzlą, zastępuje pasek.

Chłopczyki do lat sześciu noszą fałdowane spodniczki ze szkocką katanaczką. Od sześciu do dwónastu lat majtki szerokie i obcisłą lub wolną kurtkę. Widzieliśmy ubranie dla chłopca czteroletniego składające się z brązowéj sukiennéj spodniczki, kamizelki szkockiéj i takiegoż paletocika na boku spiętego, szerokie kryzy z cienkiego linonu są do tych ubrań najstósowniejsze.

Fularowe watowane szlafroki są bardzo dogodném ubraniem ranném.

Jeszcze opis toalety wizytowéj. Czarna aksamitna suknia bardzo długa, obłożona futerkiem z głów tumaków. Paletocik aksamitny z takiemże futerkiem, oraz stósowny kapelusz i zarękawek.

Inny strój z błękitnego sukienka o dwóch spodnicach, z których górnia podpinana czarnym aksamitem. Paletocik błękitny z tyłu i z przodu krótszy jak po bokach, ubrany kwadratami aksamitnemi czarnemi. Czarny kapelusz, którego szarfy lamowane błękitnym atłasem.

Jakie kapelusze są modne i czy ciągle małe noszą? Na to pytanie odpowiemy krótko, dodając kilka opisów tychże:

Kapelusz na cztery palce szeroki z sieczkowych kwiatów ułożony, zarzucony kapturkiem koronkowym czarnym, szarfy koronkowe spięte koronką atłasową.

Kapelusz z rypsu białego, ubrany piórami i agrafą złotą.

Kapelusz z aksamitu różowego ciemnego, szarfy aksamitne, agrafki złote i rajski ptaszek stanowią prześliczną całość.

Kapelusz czarny aksamitny z szarfami atłasowemi zdobi maleńki kolibry.

Opis ryciny.

Obok toalety balowéj, jaką nosi osoba druga, przedstawia rycina stroje zimowe czyli wiosenne (osoba pierwsza i trzecia) powłóczyste i krótkie, odrzuciwszy zarękawek, można je i późniéj na wiosnę nosić, dlatego podamy dokładny krój tego ubrania.

Opis krojów na arkuszu pierwszym.

Dołączamy w zmniejszeniu ładne trzy modele pod Licz. 1—10, które można do woli podług sposobu zwiększania do osoby zastósować.

Model wiosenny Fig. 1—4. Paletocik, którego tył wykończony Fig. 4. przedstawia; przód widzimy Fig. 2. w zupełności. Brzegi lamowane atłasem.

Fig. 5—9. Inny paletocik wiosenny jest cokolwiek krótszy, obszyty bogatą krepiną i grelotami.

Fig. 10. przedstawia paletocik w wykończeniu, do którego można użyć kroju Fig. 1—3, lub Fig. 11—13. zmieniwszy brzegi podług Fig. 10.

Fig 11—13. **Krój w naturalnej wielkości**, mogący posłużyć z małą zmianą na różne paletoty i katanki.

Arkusz drugi.

Ponieważ kroje dołączone są już na nadchodzącą wiosnę, umyśliliśmy podać krój ładnego okrycia w kształcie kołnierza w dwojakim sposobie. Fig. 1—2. krój kołnierza, który jest w uzupełnieniu pod Fig. 3—4. Fig. 5—6. przedstawia kołnierz w naturalnéj wielkości, tylko z tą zmianą, że pierwszy jest krajany dołem w kwadrat, drugi w okrąg.

Kołnierz ten jest biały atłasowy lub kaszmirowy, podszyty pąsową kitajką, z wierzchu jest krótką z wązkiéj czarnéj aksamitki z malemi kokardami, dołem jest szeroką frendzlą obszyty.

Fig. 7—12. Krój amazonki. Fig. 7—8. krój stanu z baskiną. Fig. 0—10 tylko stan z przydłużeniem, do którego jest długa 160 centimetrów suknia z rypsu przyszyta. Krój ten jest na osobę 48 centimetrów szerokości piersi mającéj.

Dwa guziki na Fig. 12. kółkiem oznaczone, są przyszyte pod

spodem sukni, połączone sznurkiem gumowym i służą do podniesienia tejże z przodu.

Fig. 13—14. Nowe modele ubrania krótkiego, bardzo gustownie urządzone.

Fig. 15. Zarys żakietu wiosennego w zupełnie nowym rodzaju.

Fig. 16—28. **Nowe modele strojów damskich** dołączone na żądanie Sz. Prenumeratorek.

Dodatek nadzwyczajny.

Model żakieta wiosennego w naturalnéj wielkości dla osoby 45—47 centimetrów szerokości piersi mającéj. Krój ten jest miernie obcisły z krótkiemi połami w nowym guście krajanemi. Jako odzianie wiosenne może być z korciku lub wełnianego aksamitu, ogarnirowane ryszką ze wstążki Nr. 6, lub lamowane atłasem czarnym.

☞ Jedna taka forma gotowa, jakie my dołączamy, kosztuje chcąc ją kupić osobno, do **75 c.** Zwracamy też uwagę, że podajemy stale i podwójne arkusze krojów i jeszcze nadzwyczajne dodatki, stosując się do życzeń, jakie nas dochodzą.

Kronika karnawałowa. Może nie tak rozgłośny i szumny jak w zeszłym roku, ale bezwątpienia jeszcze więcéj ochoczy był teraźniejszy karnawał. Zabawy prywatne i publiczne emulowały ze sobą i musiały sobie nieraz ustępować miejsca. Wieczory w resursie miejskim szły aż do ostatka *crescendo* — nawet reduty ożywiły się nieco, jeżeli nie dowcipem, to przynajmniéj gadaniem. Ażeby zabawić publiczność naprożno oczekującą intrygowania i sekowania, ktoś dziwnie złośliwy wymyślił sposób. Podawał ramię maseczkom i przyprowadzając je przed widzów, odzywał się np.: proszę państwa i ktoby to powiedział o téj rączce, że rondle myje — albo: no patrzajcież, ta nóżka nigdy bucika nie widziała, a jak się zgrabnie wydaje — albo: nie ma też kto mydla dla mojej maseczki itp. Oczywiście maski oburzone wyrywały się od inpertynenta, który zamiast tańczyć, kompromitował je.

Do wydarzeń, o których przy herbacie długo jeszcze będzie mowa, należy bal w ratuszu u Prezydenta miasta. Boć też oficjalny, jakoby dworski bal w Krakowie — to nie mała rzecz, to cel pragnień, zawiści, plotek — i gdyby Kraków był jeszcze osobném państwem, kto wie, czyby bal ten nie był wywołał jakiéj burzy, jak owe obiady za Ludwika Filipa w Paryżu. Obecnie jednak skończyło się tylko na tém, że podobno ktoś tam z malkontentów (tj. niezaproszonych) wydał umyślnie w ten sam wieczór bal u siebie, i tém spowodował, że część arystokracyi wcześnie z ratusza się ulotniła, na wielkie zadowolenie gości Prezydenta, mogących potém wygodniéj się bawić. A była zabawa świetna i elegancka. Tłumy ciekawych otaczały główny wjazd, schody ubrane w kwiaty i posągi brązowe, trzymające pochodnie płonące gazem, nad wejściem z płomieni herb miasta i napis „witajcie“. — Na sali przyjmowali gości Prezydent, obaj Wice-Prezydenci i ich żony jako gospodynie — sala wokoło rzęsisto oświecona, ubrana w kwiaty i białe kotary, które łagodziły ciemne tło karmazynowych tapetów; toalety pań równie wykwintne jak gustowne, na wszystkich twarzach humor i ochota, muzyka wyborna, bufet obfity, tańce do 5téj rano — słowem bal wspaniały — i wobec zadowolenia bogini Terpsychory umilknąć muszą szepty malkontentów.

Bal maskowy i kustiumowy urządzony przez medyków, wypadł bardzo świetnie, ale tylko jako bal — kostiumów nie było wcale, tylko wytworne toalety dzisiejszéj mody — masek zaś było zbyt mało, jak żeby mogły nadać charakter balowi. Dwa domina **mówiły**, to już wiele, jak na Kraków, a cóż dopiero, jeżeli potrafiły zaciekawić. Najwięcéj znać było czerwonego djabła, który wielu osobom na sali i na galeryi rymowane bileciki na poczekaniu wypisywał — a musiały być i do rzeczy i może złośliwe, bo mało który z nich pozwolono ciekawym odczytać. Zresztą było kilka masek wcale ładnych: hiszpanie, ogrodniczki i t. p. Zabawa jakkolwiek tamowana niesłychanym ściskiem, trwała do 5téj rano.

Zakończył karnawał bal artystyczno-literacki. Był to jedyny w tym roku bal **nie** dobroczynny — nie obliczony na korzyści, lubo nadwyżka dochodu idzie w połowie na fundusz Muzy, w połowie na fundusz zawięzującego się Kasyna artystów i literatów. Jak w zeszłym roku odznaczał się ten bal doborowém towarzystwem, szykiem i swobodą zostawiającą poza sobą poprzednie bale. Lubo nazwa każdego balu pochodzi nie od towarzystwa, które się zbiera — gdyż lista zaproszeń jest jedna i ta sama — ale od urządzających bal — niemniéj jednak tym razem sztukę i literaturę przedstawiały osobistości najznakomitsze w Krakowie. Rozpoczęli bal jako gospodarstwo pani Matejkowa i Dr. Józef Majer prezes tow. nauk. — a za nimi profesorowie, literaci, pierwsi artyści teatru naszego, członkowie redakcyj wszystkich dzienników i świetne towarzystwo z miasta i prowincyi. Do mazura stanęło par 54, tańce szły z niezwykłą raźnością przedstawiającą i dla galeryi, niemniéj świetném towarzystwem zajętéj, widok równie wspaniały jak powabny. — Ktoś na pół złośliwy, a na pół pochlebca, porównując bal ten z poprzedniemi, puścił w obieg dwuwiersz: „mało dziś ciotek i matek, bo to bal mężatek“. —

Po takim karnawale trudne zadanie ma post — więc też zbiera wszystkie siły, żeby nas w swój sposób zatrudnić — zapowiedziano już teatra amatorskie, koncerta, odczyty — o czém następnie.

Spis rzeczy z ubiegłego rocznika „Kaliny“ już się drukuje.

Korespondencja „Kaliny“.

Panu **H. B.** Wiersz pański należy do chorobliwych utworów cmentarnéj poezyi“, nad którą dobry smak dawno już *requiescat* napisał. Z bezładnych i luźnych rymów poznaliśmy, że pan czytał improwizację Konrada, Przedświt i t. d.; ale coś pan chciał powiedzieć przez zesztukowanie reminiscencyj z przeczytanych utworów, tego poznać w żaden sposób nie mogliśmy.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W Poznaniu w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.